MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 12. WARSZAWA, 13 MARCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

STANDARDYZACJA CZŁOWIEKA I WIARA W „PROSPERITY"

Rozważania niniejsze, udzielone nam w rękopisie przez prof. Romana Rybarskiego, są fragmentem obszernej pracy, która w tych dniach ukazuje się w książce p. t. „Przyszłość gospodarcza świata".

PODSTAWĄ najbardziej nowoczesnej produkcji jest standardyzacja, masowy wyrób towarów nielicznych typów. Niewątpliwie dzięki standardyzacji osiąga się olbrzymie zmniejszenie kosztów produkcji. W wielu dziedzinach jest ona koniecznością. Bez standardyzacji lokomotyw, samochodów, różnych narzędzi i środków uzbrojenia, niepodobna jest przygotować kraj na wypadek wojny. Budownictwo seryjne obniża niewątpliwie koszty domów mieszkalnych. Ale istnieją granice tej standardyzacji — w interesie kultury.

Z punktu widzenia zbytu towarów, produkowanych masowo, nie wystarczy standardyzować towary, ustalić ich typy, wypuszczone na rynek. Trzeba równocześnie przeprowadzić standardyzację potrzeb ludzkich. Trzeba je ujednostajnić, zniwelować, odebrać pęd do indywidualnych odchyleń, do ich nadmiernej rozmaitości, szkodliwej dla zbytu standardyzowanych towarów. Odbywa się to na drodze reklamy, która jest niezbędną częścią składową systemu produkcyjnego. Konsument staje się czemś biernem. Jego własne, indywidualne potrzeby nie grają większej roli. Reklama narzuca mu towary, które on ma konsumować; miljony ludzi uczą się temi samemi przedmiotami zaspokajać swoje potrzeby.

I wtedy wytwarza się jednolity typ człowieka, mocno zmechanizowany, bezduszny, jakgdyby produkt fabryczny, odlany według jednego modelu. I wtedy powstaje „Babbit" — bohater głośnej powieści Sinclair-Lewisa. Kiedyś stary Spencer wywodził, że postęp wyraża się w coraz większem bogactwie organów i ich postaci. Nowoczesna produkcja amerykańska zdaje się zaprzeczać tej teorji. Robi ludzi o bardzo jednostajnym typie, zaciera rożnice, które między nimi zachodzą. Każdy stara się być podobnym do innych, stara się mieć takie, jak inni potrzeby, a między wielką jednostajnością potrzeb materjalnych i przedmiotów ich zaspokojenia, a jednostajnością potrzeb duchowych zachodzi współzależność. Wszystko to zaś wyraża się w tyranji narzucanych potrzeb, w nużącej ich jednostajności; wszystko to jest groźne dla prawdziwego postępu i prawdziwej wolności.

Przyzwyczailiśmy się podziwiać różne najnowsze wynalazki, które tak znakomicie zaspokajają potrzeby ludzkie, które udostępniają zdobycze cywilizacyjne setkom miljonów ludzi. Ale nie zawsze się zwraca uwagę na ujemne strony tych „zdobyczy". Np. dzięki płytom gramofonowym można słyszeć wszędzie, bez trudu i wielkiego kosztu, doskonałą muzykę i pierwszorzędnych śpiewaków. Radjo dociera wszędzie. Jednakże te wynalazki rugują muzyków, podkopują teatr, w którym popisują się żywi artyści. Wywołują zwiększenie się bezrobocia. Wchodzą tu w grę nietylko ekonomiczne skutki tego faktu. Dawniej, kto chciał mieć w domu muzykę, uczył się grać, kto chciał słyszeć śpiew, musiał znaleźć żywego śpiewaka. Wówczas ludzie musieli zdobywać się na wysiłek, rozwijać swoje zdolności, swoją umiejętność. Obecnie tego nie potrzeba. Zaspokojenie potrzeb artystycznych w sposób mechaniczny pozwala ludziom zaspokajać ich potrzeby w sposób bierny, nie pobudza ich do własnego wysiłku. Wystarczy w wielkiem państwie paruset artystów, których popisy są udostępnione

dziesiątkom miljonów ludzi; wśród tych miljonów będzie coraz mniej takich, którzyby sami chcieli uprawiać śpiew i muzykę.

Inny przykład. Technika drukarska czyni olbrzymie postępy. Jest możliwe, że jeden człowiek będzie w centrali pisał na maszynie artykuł, który równocześnie będzie drukowany w paru tysiącach miejscowości. Wtedy zniknie prasa lokalna i prowincjonalna, będzie wychodziło tylko parę pism w olbrzymich nakładach. Będzie potrzeba mniej redaktorów, publicystów, literatów. Wszystkiego będzie dostarczała „centrala". Na zapadłej prowincji będą czytelnicy mieli lepszy dziennik, ale ta prowincja nie będzie miała własnej prasy, własnego życia duchowego. Mniej będzie ludzi, uprawiających rzemiosło dziennikarskie; będzie tylko, wielka maszynowa produkcja, obsługiwana przez nieliczne, dobrane siły.

Te wszystkie „postępy" idą przedewszystkiem ze Stanów Zjednoczonych Am. Półn. Tam dochodzą do największego rozkwitu. W okresie wysokiej konjunktury, bezwzględnego panowania w świecie amerykańskiego dolara, wydawało się, że ten świat opanuje cywilizacja amerykańska, razem ze swoim maszynizmem i „babbityzmem" (ten termin przyjął się już w literaturze). Ale w związku z katastrofą gospodarczą w Stanach zbladł urok Ameryki. Wystąpiły na jaw ujemne zjawiska, towarzyszące zbyt szybkiemu rozwojowi technicznemu i ekonomicznemu. Narody stałej Europy nie mają powodów do szczególnego pośpiechu w przyjmowaniu wszystkich nowości, które przychodzą z za oceanu Atlantyckiego. Jeżeli panowanie nowoczesnej maszyny, z wszystkiemi ujemnemi skutkami tego panowania, zostanie ograniczone, wyjdzie to na pożytek światu, choćby razem z tem przyszło osłabienie materjalnego komfortu i załamowanie postępów czysto materjalnej cywilizacji. Gdyż w parze z szalonym jej rozwojem nie poszedł rozwój duchowy ludzkości. A wtedy powstaje niebezpieczeństwo zalewu przez barbarzyństwo, wyposażone zresztą w najnowsze techniczne urządzenia.

*

Przesilenie gospodarcze odsłoniło wiele objawów, które w okresie wysokiej konjuktury nie zwracały na siebie uwagi. Budzi ono refleksje natury moralnej. Budzi wątpliwości, czy ten szalony rozpęd gospodarczy, przez który przechodził szereg krajów, nie obniżył poziomu duchowego życia, czy nie doprowadził do zbytniego zmaterjalizowania, do zbyt gwałtownej pogoni za zyskiem. Prof. G. v. Schulze-Gävernitz, zastanawiając się nad ujemnemi skutkami nadmiernego maszynizmu, robi następującą uwagę: „Wiek maszyn może się skończyć upadkiem kultury albo chaosem, ale niebezpieczeństwo nie tkwi w istocie maszyny, lecz w istocie tego mamonizmu, który się posługuje maszyną".

O „mamonizmie" możnaby wiele pisać. Jednak ogólne moralizatorskie uwagi nie mają większego znaczenia. Gdy chcemy konkretniej ująć tkwiące w tem zagadnienia, zwróćmy uwagę na bardziej uchwytne przejawy tego mamonizmu. I znowu musimy zająć się krajem, w którym nowoczesny postęp doszedł do szczytu — Stanami Zjednoczonemi Am. Półn.

Życie gospodarcze rozwijało się tam tak intensywnie, że stworzyło swoją własną religję, godzącą razem różne wyznania i sekty—religję pomyślności (*prosperity*). Amerykanie uwierzyli w to, że dobrobyt będzie wzrastał bez końca, że nic go nie zdoła powstrzymać. Przynajmniej ich własny dobrobyt. Wierzyli, że coraz to większe wynalazki coraz to nowe ulepszenia będą wchodziły w życie, że komfort stanie się udziałem wszystkich mieszkańców i nawet zaczynali się obawiać, iż straci dla ludzi wartość to, że się jest bogatym, bo wszyscy będą bogatymi. Wiarę tę wyznawali zarówno praktyczni finansiści, jak i politycy i mężowie stanu. Nie widzieli trudności, ani gospodarczych, ani finansowych. „*Prosperity*" była nieuchronną koniecznością, której pochodu nie powstrzymają żadne trudności.

Wiara ta została mocno poderwana ostatniem przesileniem, z którem trudno się oswoić Yankesom. Wrodzony im optymizm wciąż każe głosić, że w niezbyt długim czasie przyjdzie poprawa, lekceważyć groźne pomruki społeczne, które rozlegają się tam od czasu do czasu. Ale mimo tego oficjalnego optymizmu, dochodzą nas obecnie z za Oceanu echa głębokiego niepokoju. Ustroju gospodarczego i politycznego Stanów nie uważa się tam już obecnie za tak idealny i trwały, jak niedawno jeszcze temu. Szuka się nowych dróg, nowej religji—sama wiara w „*prosperity*" już nie wystarcza.

Optymizm jest wielkiem źródłem siły życiowej. Amerykanie dużo zawdzięczają swojemu optymizmowi. Bo też mieli dotychczas uchwytne jego podstawy. Gdy żyjące pokolenie widziało, jak wyrastają nowe miasta, jak puszcza zamienia się w kraj cywilizowany, jak zamiast skromnych domów wznosi się drapacze nieba; gdy Amerykanin czytał statystyki wzrostu zaludnienia, handlu, majątku i dochodu społecznego; to nic dziwnego, że nie widział granic ciągłego postępu. A ta wiara w siebie, w przyszłość „*God's Own Country*" nabrała szczególnego rozpędu po wojnie, wygranej w przekonaniu Amerykan przez Stany Zjednoczone, po wojnie, która w krótkim czasie zrobiła ze Stanów wierzyciela całego świata, ich doradcę gospodarczego i finansowego, ich dobroczyńcę.

Stare narody europejskie niejedno już widziały. Mają u siebie ślady dawnej przeszłości, dawnych trjumfów i klęsk. Ale nowa Ameryka widzi przedewszystkiem ciągłe zwycięstwo człowieka nad naturą, bezustanny postęp techniczny. Obcem jest jej pojęcie zastoju, spokojnej równowagi, żyje ona, pędzona naprzód pierwiastkami dynamicznemi. „Dobrobyt" ludności jest głównym czynnikiem, łączącym społeczeństwo w jedną całość, zabezpieczającym jego wewnętrzny spokój. I gdy ten dobrobyt załamie się, gdy poderwany zostanie optymizm amerykański, to można przewidywać, że wtedy w Ameryce odezwą się konflikty społeczne w skali, nieznanej w Europie.

Na razie nadmierny optymizm amerykański nie pozwolił czynnikom, kierującym gospodarstwem i polityką Stanów, na zrozumienie głębokości kryzysu, jego rozmiarów. Nie zastosowali oni dość wcześnie środków zaradczych, któreby mogły złagodzić przebieg kryzysu.

Jeden z najwybitniejszych amerykańskich ekonomistów, Irving Fisher, wkrótce po krachu giełdowym z października 1929 r. napisał książkę, poświęconą przyczynom tego krachu i przewidywaniom przyszłości. Daje on obraz rozwoju speku-

lacji, która poprzedziła derutę giełdową. Przytacza taki przykład, że gdyby ktoś kupił w r. 1913 papiery wartościowe za 100 dolarów i trzymał je w *safes*'ie od września 1929 r., dostałby wtedy 400 dolarów za każde sto dolarów, a 200 dolarów za 100, ulokowane w r. 1926. A gdyby ktoś za 100 dolarów kupił papiery w r. 1926 i stale je sprzedawał, kupując wciąż papiery o najmocniejszym kursie, miałby w r. 1929, po trzech latach, 1000 dolarów za 100 z r. 1926. I. Fisher przytacza ten przykład, ale nie widzi w tem czegoś bardzo nienormalnego; załamanie się z r. 1929 uważa za rzecz przejściową, wierzy w rychłą poprawę, w nowy, dalszy postęp. Przytacza przykłady dalszych, wprost nieograniczonych możliwości technicznych, olbrzymi wzrost środków wyżywienia ludności, co wszystko pozwoliłoby pomieścić 96.000 ludzi na mili kwadratowej. Z końcem z r. 1929 I. Fisher widział już zapowiedzi przezwyciężenia kryzysu!

Nadmierny optymizm u uczonego ekonomisty nie jest czemś niebezpiecznem. Gorzej jest, gdy takimi optymistami są ludzie, kierujący życiem politycznem i gospodarczem narodu. A również optymizm tego rodzaju u ogółu, czynnego w życiu gospodarczem, ma swoje fatalne skutki. Bo co to oznacza, że ktoś uważa za naturalny, normalny stan taki, w którym sto dolarów z r. 1926 mogą po trzech latach dać 1000 dolarów? Wiarę nietylko w nieograniczony rozwój gospodarczy, ile w nieograniczone możliwości spekulacyjne. Oznacza to wiarę w możliwości rychłego, łatwego wzbogacenia się, zdobycie fortuny bez specjalnego wysiłku i zasługi.

Obserwatorzy stosunków amerykańskich podkreślają zgodnie, że Stany Zjednoczone przeżywały istną orgję spekulacyjną, w której uczestniczyły dziesiątki miljonów ludzi. Spekulację tę podsycały banki, udzielając olbrzymich kredytów, uprawiając inflację kredytową. Podniecali ją mężowie stanu przez zapewnienia ciągłego wzrostu „*prosperity*". Spekulacji tej towarzyszył ogromny wzrost potrzeb i zbytku, nadmierne zadłużenie się dla celów konsumcyjnych. Kupowanie towarów, urządzeń domowych i t. d. przybrało wprost nienormalne rozmiary. Nic dziwnego, że załamanie się tego sztucznego rozpędu życia gospodarczego jest bardzo głębokie.

Podobne objawy znane są i w Europie, oczywiście nie na tak wielką skalę, jak w Stanach Zjednoczonych Am. Wojna dała sposobność do łatwych zysków, dzięki niej powstawały olbrzymie fortuny, które potem waliły się równie szybko. Inflacja pobudziła zmysł spekulacyjny. Potrzeby ludzkie ogromnie wzrosły, upowszechniło się życie nad stan, zadłużenie się dla celów konsumcyjnych. W wielu bardzo wypadkach klęski kryzysu są zasłużone. Są one karą za brak umiarkowania, za lekkomyślność w wydawaniu pieniędzy, a także za lekkomyślność w zakładaniu przedsiębiorstw. Wielu ludzi starało się dużo zarabiać w niebardzo właściwy sposób, nie dzięki istotnej twórczości ekonomicznej, lecz uzyskując różne przywileje od państwa, różne koncesje, zdobywane przez wpływy polityczne, kosztem ogólnego interesu. Rozluźniły się zasady postępowania w stosunkach handlowych, brak skrupułów w wywiązywaniu się z zobowiązań stał się objawem dość częstym.

Dzisiaj trzeba za to pokutować. Trzeba zrezygnować z łatwego mnożenia majątku. Zubożenie społeczeństwa może mieć dodatni wpływ wychowawczy. Rezygnacja ze zbyt wysokiej stopy życiowej jest koniecznością, która może doprowadzić do zdrowszych stosunków ekonomicznych. Jeżeli więc przejdzie gorączka spekulacyjna, jeżeli ludzie zrozumieją, że nie można bogacić się tanim kosztem i nauczą się budować swoją pomyślność gospodarczą na bardziej solidnych podstawach, będzie to jednym z dobroczynnych skutków obecnej, długotrwałej depresji. Pociąga ona za sobą wiele strat, wiele ofiar. Ale te ofiary nietylko są konieczne z punktu widzenia ekonomicznego, lecz w znacznej części usprawiedliwione pod względem moralnym.

ROMAN RYBARSKI

P. EMILE HAGUENIN

O ISTNIENIU i działalności prof. Emila Haguenin'a dowiadujemy się z książki p. Antoniny Vallentin o Stresemann'ie [1]). Książka jest napisana w sposób interesujący, aczkolwiek nie daje pełnego oblicza Gustawa Stresemanna i ma na celu służenie raczej pewnej polityce, niż danie życiorysu zmarłego ministra niemieckiego. Autorka przedstawia Stresemanna jako wielkiego „Europejczyka", który razem z Ar. Briandem chciał światu zapewnić wieczny pokój, oparty, jak na fundamencie, na porozumieniu francusko-niemieckiem. Wystarczy jednak znać karjerę publiczną Stresemanna, jego działalność, jego pisma i przemówienia, by wiedzieć, że jego wiekopomną zasługą dla Niemiec jest wprowadzenie powojennej polityki swej Ojczyzny na tory, które doprowadziły do znacznych powodzeń, przedewszystkiem do usunięcia Francuzów z Nadrenji, co otwiera przed Niemcami wszelkie możliwości. Pomysł Stresemanna był bardzo prosty: wyrzec się Alzacji i Lotaryngji, dojść do porozumienia z Francją, a dzięki temu pozbyć się szeregu więzów, nałożonych przez Traktat Wersalski i w wyniku osiągnąć swobodę działania na wschodzie. Ten pozytywny i czysto niemiecki program stanowi tytuł Stresemanna do wdzięczności niemieckiej, a nie jego „europejskości", która była tylko zręcznem wyzyskaniem położenia i nastawienia psychicznego opinji i polityków we Francji.

Z książki p. Vallentin dowiadujemy się, że do powstania w umyśle Stresemanna podstawowego planu jego polityki przyczyniło się spotkanie z Francuzem, przebywającym w Berlinie, z p. Emilem Haguenin. Osobistość to bardzo ciekawa, prezentuje ją nam w sposób pełen głębokiej sympatji pani Vallentin.

Przed wojną był on profesorem uniwersytetu berlińskiego, miał duże stosunki i umiał sobie zjednać ludzi.

[1]) Antonina Vallentin „Stresemann". Paryż 1931.

Oto jak go nam maluje autorka życiorysu Stresemanna:

„Był on równocześnie pełen sceptycyzmu i namiętności, żywił pogardę dla ludzkości, bo widział dobrze jej pospolitość, tchórzostwo, egoizm i ciasne uczucia zazdrości; lecz równocześnie był chciwy stosunków z ludźmi, przyjaźni i zaufania. Był człowiekiem nie wierzącym, jeden z tych wielu przedstawicieli świeckiej Francji, u których ateizm zamienia się w fanatyczną religję. A jednak miewał czasem napady mistycyzmu, które były dowodem bolesnych walk wewnętrznych. Był nieokiełznanym używaczem życia, miał wyrafinowane zmysły, pragnął spróbować wszystkich form radości życia; lecz miał nawet w najpiękniejszych godzinach swego życia gorzkie poczucie znikomości wszystkich rzeczy".

Czyż można lepiej i wyraźniej poinformować czytelnika, że prof. Haguenin był wolnomularzem, bez wypowiedzenia tego słowa?

Gdy wybuchła wojna, p. prof. Haguenin musiał opuścić Berlin. Wkrótce zamieszkał w Bernie, jako szef biura propagandy francuskiej. Od p. Vallentin dowiadujemy się, że wypełniał sumiennie swe obowiązki, lecz „nie dał się przekonać swej własnej propagandzie i zachował swe poglądy i swe sympatje przedwojenne". Z powyższych słów widzimy, że jak na czasy wojenne był to agent propagandy „dziwnego nabożeństwa". To też nie dziwi nas, gdy się dowiadujemy, że brał udział we wszystkich próbach nawiązania rokowań pokojowych. „On sam ponawiał wciąż wywiady, nie zniechęcając się niczem. Na początku roku 1917 odwiedził go Erzberger, we dwóch ułożyli projekt traktatu pokojowego..."

W czasie konferencji pokojowej p. Haguenin był w Paryżu i „pozostawał w stosunkach ze swymi przyjaciółmi niemieckimi".

Po podpisaniu pokoju „miał zostać formalnym ambasadorem, lecz *quai d'Orsay* nie dopuściła do podobnego wyłomu w tradycjach karjery dyplomatycznej".

Zamieszkał jednak w Berlinie i „odgrywał rolę pierwszorzędnego znaczenia". Spotkał się ze Stresemannem, a spotkanie to nie pozostało bez wpływy na powstanie w umyśle ministra niemieckiego całego planu porozumienia z Francją.

Wkroczenie Francuzów do zagłębia Ruhry było ciosem zarówna dla p. Stresemanna, jak dla prof. Haguenin'a. Widzimy go tedy znów przy robocie. Jeździ, pośredniczy, zabiega. Dowiadujemy się, że był nawet z pewnemi propozycjami niemieckiemi u Poincaré'go, lecz nic nie uzyskał... „Powrócił do Berlina przygnębiony... widział swe dzieło zniszczone, tracił nadzieję". P. Valentin nie mówi, co się potem z nim stało. To wszakże, czego się dowiadujemy z jej książki o profesorze—dyplomacie, wystarcza, by sobie zdać sprawę z wpływów i roli tej „szarej eminencji" porozumienia francusko-niemieckiego. Nie możemy oczywiście odpowiedzieć na pytanie, czy ten niedoszły ambasador reprezentował tylko siebie, czy też może był agentem dyplomatycznym wolnomularstwa... Ten charakter byłby mu niewątpliwie pomocny, bo, jak nas informuje p. Vallentin, Gustaw Stresemann był „wolnomularzem przekonanym". Wiedzieliśmy o tem skądinąd, wiedzieliśmy też, że należenie do sekty było mu wielce pomocne w jego polityce—zarówno w stosunkach z Paryżem, jak i w pracy na terenie genewskim.

Postać prof. Haguenin, naszkicowana przelotnie przez p. Vallentin, musi budzić zainteresowanie. Wprowadza nas ona na chwilę poza kulisy sceny, na której rozgrywały się wielkie wydarzenia dziejowe, pozwala domyślać się sił ukrytych, które często są ważniejsze od tych, które działają w pełnem świetle.

VIATOR

HR. SFORZA A POLSKA

JEDNYM z ujemmnych skutków osobliwości naszej cenzury jest rozplenienie się t. zw. literatury symbolicznej, która, omawiając zjawiska polityczne, bądź historyczne, bądź współczesne, stara się tak je przedstawić, aby czytelnikowi narzucała się analogja do stosunków polskich. Póki Adolf Nowaczyński w swych gryzących fejletonach świadomie naginał historję dla genjalnych w swym dowcipie porównań (np. sławne po upadku dyktatury hiszpańskiej tłumaczenie Primo de Rivera na „pierwszy z brzegu") — wszystko było w porządku, gdy jednak legjon mniej zdolnych, czasem wręcz nieudolnych pisarzy zaczął z całą powagą dorabiać historjozofję i filozofję polityki do krytyki rządów pomajowych, choćby najsłuszniejszej, gdy troska o skrupulatność poczęła ustępować werwie dziennikarskiej — wytworzyła się atmosfera niezdrowa, utrwalająca w głowach inteligencji polskiej różne płycizny myślowe. Jeszcze jaskrawiej, choć z innych powodów, występował ten objaw w prasie sanacyjnej, która do posunięć przez nią samą nie rozumianych dorabiała teorje, wywołując wspomnienia Batorych, fałszywie zresztą ujęte, lub chrzcząc Konstytucję 3 maja mianem „przewrotu majowego".

Te wszystkie „Cezary i Wilhelmy" doprowadziły nas do takiej tendencyjności w ocenach, że dziś dzienniki widzą we wszystkiem niemal rodzaj kamyków do procy, przydatnych dla mniej lub więcej bolesnego ugodzenia przeciwnika. Taki też los spotkał, przynajmniej w prasie codziennej, ostatnią książkę hr. Sforzy *„Dictateurs et dictatures de l'aprés-guerre"*[1]). Poseł Czapiński przyjął ją z zachwytem jak ewangelję, nie zastanawiając się, że uwielbiony autor traktuje niechętnie przedewszystkiem Polskę, prasa zaś sanacyjna, tak czuła na głos zagranicy np. w sprawie zajść antyżydowskich, tym razem nie zastanawia się nad tem, ile szkody przynosi Polsce książka hr. Sforzy i zbyła ją wulgarnym frazesem o zielonej włoszczyźnie. A jednak książka zasługuje na omówienie. Autor jej był w latach 1920—21 włoskim ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Giolittiego, później ambasadorem w Paryżu, po przewrocie faszystowskim nie poddał się Mussoliniemu, lecz po pewnem wahaniu pozostał zagranicą, gdzie napisał: *„L'Énigme chinoise"*, *„Diplomatic Europe since the treaty of Versailles"*, *„Le bâtisseurs de l'Europe*

---

[1]) *„Dictateurs et dictatures de l'aprés-guerre": par le comte* Sforza; *sixiéme édition; Nouvelle Revue Française: Paris, Librairie Gallimard.* 1931 r.

moderne" i wreszcie tom obecny, który wyszedł jednocześnie po francusku, angielsku i niemiecku i jest czytany skwapliwie na obu półkulach.

Zainteresowanie się hr. Sforzy dyktaturami pochodzi głównie z osobistych przejść włoskich. Rzuca się to w oczy w sposób jaskrawy. O ile omawiając inne dyktatury autor stara się o pozory objektywizmu, o tyle o Mussolinim i faszyzmie mówi z nienawiścią, posuniętą aż do niesumienności, gdy usiłuje np. wmówić w czytelnika, że faszyzm nie ocalił Włoch od bolszewizmu, gdyż ten im nigdy nie groził! Zresztą mniemany objektywizm autora w stosunku do innych krajów demaskuje się dość łatwo. Probierzem ukrytym, ale istotnym jest stosunek omawianych dyktatur do ideologji i organizacji wolnomularstwa światowego. Tak więc, o ile bardzo surowo traktuje Mussoliniego, Alfonsa XIII, Horthy'ego, Hitlera, o tyle absolutyzm Aleksandra Jugosłowiańskiego i dyktaturę Mustafy Kemala Paszy maluje jasnemi barwami: „...Aleksander silnie stawiał swe serbskie nogi na gruncie rzeczywistości, ...jakiekolwiek będą na dalszą metę konsekwencje zamachu stanu, jestem przekonany, że Aleksander się nań zdecydował wyłącznie z uczciwych pobudek"... (str. 131)... „Turcy umieją dzięki Kemalowi zachować z całą skrupulatnością wszystkie zewnętrzne formy demokracji,... celem dyktatury Kemala jest usunięcie na zawsze niebezpieczeństwa autokracji w stylu orjentalnym w narodzie, który pragnie się zbudzić do nowego życia" (str. 220). Błędem Kemala jest wypędzenie Greków i Ormian (str. 218), natomiast chwali się mu, że zrezygnował z krajów arabskich (str. 211 i 21); czyżby chodziło o naftę mossulską, bo przecież Kurdów i Ormjan Ghazi utrzymuje w posłuchu metodami Abdul-Hamida? Oto niektóre z ciepłych słów hr. Sforzy wobec dyktatur, o których powszechnie wiadomo, że są związane z masonerją.

Nie jest moim celem omawianie całej książki hr. Sforzy, uważam, iż są po temu pióra bardziej od mojego kompetentne, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy włoskie, rosyjskie i niemieckie, natomiast pragnę, po niezbędnych uwagach wstępnych, przejść do rozdziału VIII: „*La dictature polonaise*".

„Dyktatura polska — to Piłsudski. A Piłsudski jest" — zdaniem Sforzy — „anachronizmem najbardziej typowym z całej Europy... Ideologja jego jest ideologją heroicznych lat 1830 — 31..., więcej, ten socjalistyczny przywódca uosobia w rzeczywistości tradycje szlachty polskiej"... (str. 138).

Uwaga powyższa nie jest pozbawiona słuszności, aczkolwiek autor formułuje ją lepiej niż rozumie. Istotnie, nie pojmie się Piłsudskiego bez znajomości psychiki szlachty polsko-litewskiej XVII i XVIII wieku. Piłsudski to Wiśniowiecki, Lubomirski, Radziwiłł, z ich zaletami i wadami, tylko może lepszy gracz, zręczniejszy polityk, a przedewszystkiem obdarzony silniejszą wolą i uporem [2]). Tamci przeprowadzali wszystko do połowy, ten ma ambicję stuprocentowego zwycięstwa i stuprocentowych rządów. Ale niema w sobie nic ze statysty w stylu Żółkiewskiego czy Ossolińskiego. Zestawiam tu nazwiska nie dla oceny moralnej czy wogóle wartościowania, ale dla zrozumienia pewnej psychologji. Jeżeli Sforza, mówiąc o dzisiejszym dyktatorze wspomina „*Liberum Veto*", to ma niewątpliwie rację. Ta nuta dźwięczy w przemówieniach nietylko „samotnika z Sulejówka", („Zrzucę mundur, wyjdę na ulicę... kości będą trzeszczeć") ale i zwycięscy („N i e dawałem pracować po kolei trzem sejmom"... „...trybunał Stanu n i e śmiałby się zebrać ani razu"). Gdy marszałek Piłsudski mówi o Prezydencie Rzeczypospolitej: „Ja wam zdmuchnę tę gromnicę", gdy jako „wódz duchowy armji" uważa wręcz za intruza ministra spraw wojskowych, mianowanego nie po swojej myśli i odpowiada mu na zapytanie o opinję w sprawie organizacji armji listem, w którym po raz pierwszy rozbłyska t. zw. „styl marszałkowski" (1925 r.) przypomina szlachecką fantazją Karola Radziwiłła „Panie Kochanku", który nie chciał powitać według form Stanisława Augusta, bo „słyszane to rzeczy, aby wojewoda stolnika po rękach całował!"

²) Wykształcony w szkole rewolucjonizmu rosyjskiego.

Jeżeli prasa sanacyjna tak ostro zareagowała na osławione już zdanie Sforzy, że „Piłsudski zdawał mi się zawsze żyjącem uosobieniem maksymy, iż Polska nierządem stoi" (str. 139) to dowiodła, że czytała to zdanie oczami Czapińskiego. Zrozumiała to jako paszkwil na swego wodza: nic mylniejszego. Sforza nigdzie nie wyraża się o Piłsudskim z nienawiścią, a nawet z niechęcią. Sądzi go surowo, to prawda, później postaram się wyjaśnić dlaczego, ale traktuje go nietylko bez rozdrażnienia, ale nawet z pewną sympatją, z pewnem charakterystycznem ciepłem. Oto przykład: (str. 140) „Nawet najgorsi jego wrogowie muszą przyznać — albo przyznają wkońcu po jego śmierci — że reprezentuje on żywą tradycję tej szlachty, która była zawsze gotowa do poświęcenia życia i mienia dla wielkiej idei; idei, która ma w sobie pewne piękno"...

Jeszcze ciekawszy jest inny objaw. W książce, wydanej pod koniec 1931 roku, niema ani słowa o Brześciu. Zdziwiło to nawet sanacyjny „Tygodnik Illustrowany". „Ten Brześć aż się prosi, by go autor użył za argument przeciwko dyktaturze" („Tyg. Ill". rocznik 1932, Nr 1). Ani słowa o Zagórskim, o Zdziechowskim, Dąbskim, Nowaczyńskim, Mostowiczu, gwałtach wyborczych, nadużyciach, jednem słowem o tem, co głośne było w Polsce i zagranicą, w czarnej broszurze Vanderveldego, w „*Populaire*" czy „*Journal de Debats*". A przecież autor rozwodzi się na wielu stronach nad terrorem faszystów, korrupcją, nikczemnościami, których się ma dopuszczać świadomie sam Mussolini. Gdzieindziej (str. 255) wylicza szereg zbrodni, dokonanych w Niemczech przez prawicę. Te rzeczy go interesują, to jasne. Polsce żadnych tego rodzaju zarzutów nie stawia. I taką książkę uważa „Robotnik" za argument przeciw dyktaturze, którą oskarża właśnie o wszystko, co Sforza pomija milczeniem!

„Tygodnik Illustrowany" napisał uczciwie: „...żałujemy, że (hr. Sforza) nie pisze raczej o Brześciu jeśli nas już musi atakować, niż żeby w kilku językach świata głosił takie oto rewelacje".

Jakie? Dochodzimy do sedna rzeczy. Książka hr. Sforzy jest czemś zupełnie innem, niż myśli prostoduszny p. Czapiński, prostacki „Express Poranny" czy nawet „Tygodnik Illustrowany". Nie jest to walka z dyktaturą. Jest to coś dużo gorszego: pod sympatyczną napozór dla polskiej opozycji osłoną kryje się poprostu akcja antypolska.

Proszę zauważyć. Gdziekolwiek autor omawia dyktatury, stara się usilnie zaznaczyć (rzecz zrozumiała u wroga dyktatury), że dyktator nie repre-

zentuje całego społeczeństwa. Jest Mussolini, ale ale jest i Benedetto Croce, Giolitti, Orlando. Jest kandydat na dyktatora Hitler, ale są i Niemcy Stresemanna. Jest Horthy, ale jest i Jaszi, Alfons XIII, lecz i Unamuno. Brak tych przeciwstawień przy Turcji i Jugosławji, ale tam, jakeśmy mówili, ocena dyktatur jest albo gloryfikująca, albo przynajmniej liryczna. W Polsce sprawa jest niezwykle jasna: „Piłsudski, jakeśmy widzieli, jest najpełniejszym typem polskiej szlachty. Polacy widzą się w nim jak w lustrze" (str. 141).

Uderzające określenie! Zanalizujmy tekst: Pierwsze zdanie mówi o szlachcie. Drugie o Polakach. Jeden termin użyty zamiast drugiego. Czyżby p. Sforza nie wiedział nic o innych stanach? Czy też...? Ale szukajmy dalej.

„Piłsudski, będąc Polską, jest, musi być militarystą i nacjonalistą". Piłsudski będąc Polską... Otóż i gotowy sylogizm. Dla niego, zdaniem mojem, pisano cały rozdział o polskiej dyktaturze. Piłsudski — zdaniem Sforzy — jest anachronizmem... Ale Piłsudski to Polska. Polska współczesna, niepodległa. Mamy już dwie przesłanki. Wniosek? — Polska jest anachronizmem.. No i jeszcze: Polska jest, musi być militarystyczna i nacjonalistyczna...

„Brat" Sforza, którego książki tłumaczą na chiński, japoński (*„L'Enigme chinois"*), angielski, francuski, niemiecki, hiszpański, polski, szwedzki i czeski [3]), były minister i ambasador, a może i potomek książąt medjolańskich (naszej Bony?), umie być gładki, giętki, zręczny. Napisać na zamówienie książkę p. t.: *„Le peuple démembré (à propos du couloir de Dantzig)"* lub *„Le sang et le pétrol (l'Oukraine sous le joug)"* — któż to przeczyta? Ale włączyć propagandę antypolską do książki o dyktaturach, gdzie się przedewszystkiem załatwia własne rachunki z Mussolinim, psuje szyki Hitlerowi i węgierskim antysemitom, a wychwala „brata", Kemala, przy sposobności uspokoić obawy co do powrotu Hohenzollernów i smutnego losu konstytucji wejmarskiej, wspomnieć o „okrutnej niesprawiedliwości traktatu w Trianon" o „przyjacielskiem rozwiązaniu kwestji korytarza" (pomorskiego) — to już istotnie ubić wiele zajęcy jednym strzałem i nakarmić niemi — wcale skutecznie — wielojęzyczne rzesze czytelników.

Może jednak trochę przesadzam? Może biorę za perfidję zwykłą *„façon de parler"*, literackie upiększenia książki, która stara się być lekką? Może p. Sforza poprostu nie orjentuje się w sprawach polskich? Przeczytajmy następujący ustęp z jego książki:

„Z wszystkich błędów Piłsudskiego najcięższy i najbardziej osobisty leży, zdaniem mojem, w nowych granicach wschodnich, które chciał dać Polsce: najcięższy, bo zawiera zaród przyszłych konfliktów, najbardziej osobisty, gdyż bez niego nie byłby popełniony. Piłsudski nie ponosi żadnej odpowiedzialności za korytarz, który rozdziela Prusy Wschodnie od reszty Niemiec; ale granice z Rosją są jego dziełem, są tem, co mógł urzeczywistnić ze swego starego romantycznego marzenia o Polsce rozciągającej się aż do Morza Czarnego, przez państwo ukraińskie, zależne mniej lub więcej od Warszawy. Granice jej (Polski) wżerają się tak okrutnie w ciało Rosji, że mogą nie stać się nigdy tą rzeczą niezmienną i świętą, jaką winna być granica każdego narodu (*Les frontières mordent si outrageusement daus les chairs de la Russie, qu'elles risquent de ne devenir jamais cette chose permanente et sacré que la frontière d'une nation devrait être*", str. 146).

Oto jednoczesny dowód przestępstwa i premedytacji! Zła wola jest oczywista. Nikt tu hr. Sforzy w błąd nie wprowadził, orjentuje się on nieźle w polskich sprawach, co zresztą widać z całej książki. Doskonale wie, kto jest, a kto nie jest „odpowiedzialny" za przyłączenie Pomorza do Polski. Równie dobrze się orjentuje w zagadnieniu naszych granic wschodnich. Zna plany federacyjne Piłsudskiego. Jakże go może czynić „odpowiedzialnym" za traktat ryski, który był pogrzebaniem federalizmu. Pan Sforza zupełnie świadomie udaje ignoranta. Wie dobrze, że projektowana „linja Piłsudskiego" pokrywała się zgrubsza z linją Curzona. Na wschód od niej rozciągać się miały państwa buforowe: Ukraina, Białoruś, Litwa. Ale przyznanie tej prawdy pociągnęłoby za sobą obalenie ulubionej jego tezy tej o „tożsamości". Cóżby się stało wówczas z „anachronizmem" Polski?

Robota szyta białemi nićmi, ale wobec zupełnej nieznajomości na zachodzie spraw polskich, hr. Sforza mógł sobie na nią pozwolić z całą bezczelnością. Czasami zakrawa to wprost na kpiny z czytelnika. Proszę zważyć ciekawy szczegół:

„Granice Polski wżerają się okrutnie w granice Rosji". Co to znaczy? To znaczy, że Polska zagarnęła ziemię rosyjską. Istotnie, czytamy: „Terytorja rosyjskie, które przeszły do Polski, są kolonją, gorzej, są Irlandją przed *Home Rule*. I jeśli Anglja nie potrafi ugiąć Irlandji, nie jest lekkomyślnem przypuszczenie, że Polska nie ugnie... (kogo? Rosjan oczywiście? — Nie!)... Ukraińców" (str. 146).

A przecież Piłsudski chciał tworzyć państwo ukraińskie (str. 145). Ziszczeniem (częściowym) jego marzeń były owe „wżerające się" granice. I teraz właśnie... Ukraińcy upominają się wraz z hr. Sforzą o krzywdę... Rosji. Rosjan zabrakło. W czyjeż więc ciało „wżerają się" okrutnie granice Polski? W Rosji czy Ukrainy? Nad tą plątaniną prześlizgnie się oko zachodnio-europejskiego czy amerykańskiego czytelnika. Zostanie wrażenie, że Polska popełnia rzecz ohydną. Oto dzieło godne niemieckiego agenta.

Cóż mówi hr. Sforza o innych bolączkach polskiego państwa? „W porównaniu z tym zagadnieniem (ukraińskiem), które Piłsudski nieoględnie stworzył, wszystkie inne mają, zdaje się, niewielkie znaczenie: z odrobiną wolności i tolerancji, Polska będzie mogła przemienić żydów w obywateli polskich, dość zadowolonych *(pas mécontents)* ze swego losu; ze szczyptą taktu politycznego i zmysłu współpracy przemysłowej dadzą się przejednać Niemcy z Górnego Śląska, który zresztą jest ziemią polską; nawet zagadnienie Kurytarza (pomorskiego) można rozwiązać w sposób przyjacielski; jedynie rosyjskie zabory Piłsudskiego stwarzają problem, którego pokojowych rozwiązań nie widać" (str. 147).

Zdanie to jest małem arcydziełem. Wynika z niego jasno dla czytelnika, że żydzi polscy nie posiadają dotąd ani wolności, ani nawet tolerancji, a ponieważ żądania ich są skromne, więc cała wina złych stosunków leży wyłącznie po stronie Polaków. Dalej staje się oczywiste, że Polacy pozbawieni są taktu politycznego i ducha współpracy gospodarczej. Świetna to propaganda naszych papierów na giełdach zagranicznych.

---

[3]) Tak głosi wzmianka „o innych dziełach tegoż autora" zamieszczona przed kartą tytułową.

„Nawet sprawa kurytarza może znaleść przyjacielskie rozwiązanie“ — tu suggeruje hr. Sforza, że stan obecny jest nie do utrzymania, rzecz dla zagranicy godna tembardziej wiary, że mówi o niej przyjaciel Polski. Tak, przyjaciel, skoro stwierdza, że Górny Śląsk jest „zresztą“ ziemią polską. A gdy wkońcu czytelnik zagraniczny, który i tak już jest nastraszony przez dzienniki groźbą wojny z powodu „tragicznej sprawy kurytarza“, dowie się, że jest to drobnostka w porównaniu z problemem wschodnich granic Polski — wówczas pogląd jego na nasze państwo jest kompletny i jasny, dużo jaśniejszy, niż na dyktaturę, o której właściwie nic się nie dowiedział.

A na zakończenie przeczyta jeszcze:

„Dyktatura w Polsce jest dość silna, aby zdusić wszelkie usiłowania rewolucyjne. Ale nieświadomie zasiała ziarna, z których pewnego dnia może wyrosnąć albo rewolta socjalna zgłodniałego chłopstwa, albo bunt polityczny gnębionych mniejszości narodowych.

Prawdziwi przyjaciele Polski uważają za rzecz naturalną, że niepokoi się ona zbrojącą się Rosją Sowiecką, ale życzą jej (Polsce), aby niezapominała doświadczeń Rosji carskiej“.

I takie proroctwa czytają dziś tysiące Francuzów, zadając sobie z pewnością pytanie, czy warto się wogóle tą Polską interesować, tysiące Anglików i Yankesów, nie mówiąc już o Niemcach. Wkrótce zapewne wyjdzie przekład hiszpański, co oznacza zalanie nietylko półwyspu iberyjskiego, ale i Ameryki hiszpańskiej. Z większych narodów jedni Włosi będą pozbawieni tej lektury, ale tych i tak nie trzeba specjalnie zachęcać do rewizji traktatów. W propagandzie antypolskiej jest książka hr. Sforzy jednem z najgroźniejszych narzędzi.

Pod tym też kątem musimy my, Polacy, oceniać hr. Sforzę i jego poglądy. Dowodzi to słabości myśli politycznej, jeżeli je ktokolwiek z partyj opozycyjnych, choćby pod pierwszem wrażeniem, wziął za wyrażanie zgodnych ze swemi, a zatem sympatycznych dla siebie, krytycznych opinij i sądów o systemie „sanacyjnym“.

JAN MOSDORF

W MGLE NIEPOROZUMIEŃ

(Dokończenie)

WEDLE Stanisława Kolbuszewskiego[38]), „Chochoł — to martwa pałuba, kryjąca, przygniatająca siłę ducha“. (Dowolne połączenie dwu pojęć. — Przyp. S. C.). „Jest symbolem rzeczywistości“.

Zato charakterystyka Wernyhory jest trafna:

„Z niewiary we własne siły rodzi się pewność w zrealizowanie marzeń poetyckich za sprawą wiary i poezji. ...Punkt ciężkości życia narodowego, kwestję bytu niepodległego, przesunięto ze sfery realnej w sferę marzeń i poezji... Rola Złotego Rogu identyczna z rolą Wernyhory... Słowa Wernyhory są tylko poetyckiemi frazesami, to utopje, któremi naród żyje“.

Eugenjusz Kucharski, zdając sprawę z powyższej książki Kolbuszewskiego[39]) nazywa Wernyhorę „najbardziej szatańską, najprzewrotniej uwodzącą marą weselną“, przechodząc zaś do Chochoła, tak mówi:

„Otulono tu najdroższy „róży krzak“ w konieczną, potrzebną i niezbędną pałubę fikcyj(?) najrozmaitszych: poetyckich, artystycznych, filozoficznych, społecznych, politycznych, militarnych, a nawet naukowych“. (Czy nie byłoby prościej powiedzieć poprostu—literackich? Przynajmniej czytelnikowi tych słów Kucharskiego nasuwa się nieodparcie to właśnie określenie = Przyp. S. C.)

„Ponieważ pałuba ukrywa i przechowuje rzecz świętą, zaczyna nieznacznie ona sama uchodzić za świętość (?) i staje się przedmiotem narodowego kultu (??)... Chochoł identyfikuje się samozwańczo (?) z krzakiem róży“ (Literatura! = Przyp. S. C.)

Czesław Latawiec w charakterystyce Chochoła także błądzi po manowcach[40]). Stwierdza on, prawda, ze w akcie II „Wesela“ „powstaje niepoważnie pomyślany plan wywołania insurekcji“, lecz mylnie przypisuje to Chochołowi, którego przeto

„należałoby zerwać, utopić, zniszczyć — aby wyzwolić wiosnę życia. Dopóki się tego nie dokona — Chochoł więzić będzie każdy żywy odruch w narodzie, wszystko ulegać będzie jego czarowi... Chochoł w życiu narodu przestał (?) być dorywczą, doraźną osłoną życia, koniecznego dla jego rozwoju, a stał się siłą, niszczącą życie“. (str. 80)

Zupełną dowolność tego twierdzenia możemy ocenić na podstawie dalszych słów samego autora:

„Rola Chochoła utożsamia się w sarkastycznem ustosunkowaniu się do rzeczywistości z sobą samego Wyspiańskiego“. (do rzeczywistości w potocznem znaczeniu = Przyp. S. C.)

Z tej słusznej tezy, jakże jednak niezgodnej z twierdzeniem, wypowiedzianem na str. 80, autor snuje wnioski, odnoszące się do Wernyhory i Złotego Rogu:

„Wernyhora jest widmem romantyzmu, romantycznej wiary i czynu“ (str. 9). „Romantyzmu czyn mógł być tylko cudem“ (str. 95).

„Legenda Złotego Rogu, z którą walczyć będzie Wyspiański“ (str. 96).

Natomiast w zupełnej niezgodzie z tezą o tożsamości roli Chochoła i Wyspiańskiego pozostaje konkluzja ostateczna:

„Ponad narodem władzę swą ponownie rozpostrze Chochoł, symbol tęsknoty, opuszczenia, symbol martwoty, symbol życia zdławionego i niewyzwolonego z pęt niemrawości, niemocy, symbol, w końcu, przeszłości przebrzmiałej i umarłej, ale wiecznie w narodzie żywej (?), niedającej się usunąć, przez wpływ swój uniemożliwiającej narodowi pełnię życia, uniemożliwiającej śmierć, jako wyraz największego heroizmu. Grać będzie narodowi do zagłady, do unicestwienia, a skrzypkami jego będzie poezja“ (str. 102).

Tego rodzaju mętna frazeologja bez ładu i składu jest oczywiście skutkiem niedbałego czytania przedewszystkiem samego „Wesela“, powtóre zaś całej puścizny Wyspiańskiego.

Do szeregu ujemnych sądów o Chochole należy bałamutna, ale, niestety, typowa opinja Eugenjusza Landa[41]), który twierdzi (zupełnie błędnie, jakeśmy to już widzieli i jeszcze zobaczymy znowu), że dotychczas „wszyscy się zgadzali na jedno: że Chochoł jest czemś zdecydowanie ujemnem“. Wezwała go „Rachela“ urażona (?) zachowaniem się wobec niej uczestników“. Dalsze zdania stoją na tym samym poziomie:

[38]) S. Wysp. a romantyzm polski — Poznań 1928.
[39]) „Pamiętn. Literacki“, 1928, I.
[40]) Walka o duszę narodu w twórczości S. Wyspiańskiego, Poznań 1930.

[41]) O pojmowanie „Wesela“ — „Życie Teatru“, 1928, nr. 12.

„Chochoł — to siła zła...
Wernyhora daje nawet (!) Złoty Róg wyzwolenia... Chochoł ukradł Złoty Róg i rozbraja zgromadzonych nietylko z broni, ale i z Ducha...
Z piekła idzie muzyka. Z piekła rodem jest również Chochoł."

Mirski[42]) określa Chochoła, jako „wiecheć słomy, symbol zakłamanego, fałszywego patrjotyzmu". Nie odróżnia też on działania Złotego Rogu i Chochoła: „Pod koniec... wszyscy są w oczekiwaniu jakiegoś Cudu, co się stać ma gdzieś poza nimi i bez ich przyczynienia się".

W ostatniej chwili doszła mię broszura Rajmunda Bergela p.t. „Dramat widmowy w „Weselu" Wyspiańskiego" (Myślenice 1931), należąca całkowicie do tej części literatury o „Weselu", z którą tu próbuję się rozprawić. Więc np. autor, stwierdziwszy, że Chochoł „owija krzak róży dla ochrony przed zimą", widzi jednak w nim „symbol zakutanej więzami niewoli", ale on chowa „zaródź przyszłego, odrodzonego z wiosną narodu życia" (str. 6). Temu nieporozumieniu towarzyszy nawskroś błędna i konwencjonalna interpretacja „Legendy", ale autor próbuje też kojarzyć Chochoła z Korą z „Nocy Listopadowej", nie dostrzegając, zdaje się, że te tłumaczenia zupełnie się z sobą nie godzą. Nie dostrzega następnie, że to przecież oczekiwanie Złotego Rogu wtrąciło weselników w uśpienie, z którego właśnie, acz częściowo, uwalnia ich Chochoł. Dalej zupełnie błędnie uważa Bergel za główny problem dramatu ideę „zbliżenia szlachty z ludem", niepomiernie zacieśniając w ten sposób myśl poety. Szczytem jednak nieporozumień jest apoteoza Wernyhory, który przynosi „cudowny balsam" i „rozbudzenie ducha". Broszura kończy się nawskroś konwencjonalnie: „Bezwład, zwątpienie, apatja paraliżują czyn. Melodję mowy Złotego Rogu zagłusza monotonna, usypiająca kołysanka Chochoła" (str. 19).

6

Kilku krytyków, piszących o „Weselu", zajmuje wobec Chochoła stanowisko połowiczne.

Więc Matuszewski[43]) tak pisze:

„Chochoł — to wywołane przez gości weselnych mamidło, niemal pozbawione osobowości, to jakby rodzaj jakiegoś narzędzia, które prawie niezdolne jest do samoistnych czynów, ale dopomaga tylko zebranym gościom do uzewnętrznienia, objektywizacji ich wewnętrznych tęsknot i wizyj... Chochoł nie jest potęgą osobistą, lecz jakby nicią, łączącą świat nastrojów wewnętrznych ludzi z widmami, ucieleśniających te nastroje".

B. Prus[44]) nie umie sobie dać rady z dwoistością, zaklętą w postaci Chochoła:

„Chochoł — czyli wiecheć słomy, który w najpomyślniejszych okolicznościach może (!) się stać krzakiem róży, a później — znowu wiechciem".

A. Niemojewski stosuje do Chochoła kryterja aktualne. Chochoł, okrywający krzak róży, to wedle niego symbol idei,

„owinięty w futerały zabezpieczające, tej idei, odłożonej na przyszłość, symbol mumij, których cały rozum polega na tem, aby położyć palec na ustach i mówić Salomonowe: „szasza, zima, czekać, słuchać, a tymczasem tańczyć!".

[42]) „Mistyka Wyspiańskiego", Lwów 1924.
[43]) Weyssenhoff i laury Wyspiańskiego — „Tygodnik Illustr." 1909.
[44]) Najnowsza poezja polska — „Tygodnik Illustrow.", 1909.

S. Estreicher mimochodem zawadzając o symbolikę „Wesela", podkreśla, że „Chochoł owija zmartwiały chwilowo krzak róży" [45]).

7

Z pośród nielicznych, lecz, zdaniem mojem, najbardziej trafnych głosów, uważających Chochoła za symbol pozytywny, wymienić należy przedewszystkiem studjum Józefa Rachwała[46]). Tłumaczy on nadzwyczaj przekonywująco tożsamość trzech koncepcyj Wyspiańskiego: 1) owego serca, o którem tyle się w „Weselu" mówi, zwłaszcza w scenie między Panną Młodą a Poetą („A tam puka? — I cóż za taka nauka? Serce — ! — A to Polska właśnie"), dalej 2) Kory z misterjum Eleusis, wreszcie 3) róży.

„Chochoła przeto należy rozebrać, oddzielić suknie od ciała, i będziemy mieli przed sobą: krzak róży z nadprzyrodzoną mocą życia, odradzania się, — serce, nasze myśli, marzenia narodowe, porywy, nasze dusze, nasze uczucia, owinięte w słomę, ograniczone zbytnio(?) — sceptycznym, zmaterjalizowanym, zaściankowym, egoistycznym rozumem. Zrzućmy słomę, ale letnią porą, — a kwiat róży odkwitnie... Kwiat róży, pokryty pałubą, jest rzeczywistością, jest ucieleśnieniem nas samych, nie w życiu codziennem, lecz w życiu polskiem. (Ostatnie odróżnienie trąci snobizmem = Przyp. S.C.)

Mieczysław Limanowski[47]) taki snuje obraz poetycki:

„Listopad. Wichry przeciągają i ciemności. Chmury zakrywają niebo. W ogrodzie krzak róży okryty jest wiechciem ze słomy, Chochołem. Bez tego chochoła kwiat zmartwieje, nie przetrwa zimy, zwarzy go pierwszy mróz.
Chochole! Ze słońcem nowem na wiosnę musisz być unicestwiony. Młodzi cię chwycą na ramiona i poniosą, albo tam nad staw, aby utopić, albo tam na wzgórze, aby cię spalić... Z wiosną staniesz się niepotrzebny. Przeznaczenie twoje się spełni, wielkie przeznaczenie ochraniania kwiatu.. Przez najcięższą porę roku, przez tę, która jest związana z dreszczami śmierci, byłeś drugą skórą, czy powłoką, pod którą życie się tailo. Róża mogła spać w letargu, nowe życie z sokami wiosny mogło wrócić. Wszystko przez Ciebie".

Stanisław Pigoń[48]) czyni krok dalszy (może nawet za daleki) w tej apoteozie Chochoła:

„Chochoł jest w dramacie symbolem chyba nie śmierci, nie ironji — ale właśnie życia. To żywe życie, ten krzew róży o skoncentrowanej miazdze treści istnienia, ten symbol niezniszczalności plemiennej — owinięto w chochoł, pałubę słomianą na czas mrozów.
Zgubiony przez parobka na rozstajnych drogach Złoty Róg Chochoł właśnie odnalazł — i nie wyda go na zmarnowanie... (Jest to jedyna próba w literaturze przedmiotu dodatniej oceny tak Chochoła, jak i Złotego Rogu = Przyp. S. C.) Zły czas przejdzie, Chochoł mrozy przetrwa — a na wiosnę uwolniony (kto? = Przep. S. C.) rozwinie się i rozkwitnie przepychem kwiecia. Wtedy i Złoty Róg się odnajdzie."

Dalej autor snuje przekonywające analogje pomiędzy Chochołem a Korą, oraz koncepcjami „Legjonu".

Tenże autor gdzieindziej [49]) pisze:

„Chochoł... wydobywa z nich gdzieś „z pod czwartej głębnej skiby" prawdę dusz, rzetelną ich istotę, na codzień schowaną pod powłoką obłudy, lub samoułudy... Pod czarem Chochoła podnosi Wyspiański ludzi do potęgi najwyższej, tętniącej żywą krwią serdeczną".

STANISŁAW CYWIŃSKI

[45]) Narodziny „Wesela" — „Przegląd Współcz". 1926.
[46]) Chochoł „Wesela" — „Sfinks", 1911, Nr. 48.
[47]) „Wesele" W-go w Teatrze Rozmaitości 1915, „Myśl Polska" 1915, I, 133.
[48]) O „Weselu" W-go — „Kurj. Poznański", 1919, Nr. 284-5, oraz w książce: Z epoki Mickiewicza, str. 500.
[49]) „Dziennik Wileński", 1926, Nr. 25 i 29.

NA WIDOWNI

Ewolucja sen. Boguszewskiego — Beztroski okrzyk sen. Wyrostka i troskę budząca rzeczywistość—Charakterystyczne cechy komunizmu—Anegdota o synu podoficera—Piękny pomysł pos. Mackiewicza—Kto wykona projekt?

NA posiedzeniu Senatu dn. 29 b. m., były długoletni członek klubu B. B., senator Boguszewski, który przed kilku tygodniami opuścił był szeregi stronnictwa rządowego, wygłosił mowę, zarówno pod względem treści jak i formy bliźniaczo przypominającą typowe demagogiczne przemówienia komunistycznych agitatorów.

— „Nareszcie będziemy mieli jednego komunistę w Senacie!“—takim okrzykiem przerwał orację swego doniedawna kolegi klubowego jeden z ruchliwszych przedstawicieli obozu „sanacyjnego“ w Izbie wyższej, senator Wyrostek.

Widowisko istotnie było niepowszednie i wzbudziło zrozumiałą sensację. Naprawdę interesujący i wart zastanowienia jest jednakże nietyle sam *casus* sen. Boguszewskiego, ile raczej ogólniejsze zagadnienie podłoża psychicznego, na którem tego rodzaju przeobrażenia ideowe mogą się — w obozie „pomajowym“ — dokonywać. W jaki sposób człowiek powyżej lat czterdziestu, o poglądach zatem oddawna już ukształtowanych i określonych, stary, wybitny przedstawiciel „elity“ sanacyjnej, który w ugrupowaniu swem dosłużył się krzesła senatorskiego, mógł tak z dnia na dzień, jakby krok tylko jeden uczyniwszy przez wąską miedzę, przesunąć się od „ideologji“ państwowej partji rządzącej do komunizmu? Jakież czynniki, i po stronie „sanacyjnej“ i komunistycznej ewolucję taką umożliwiły i ułatwiły? I czy p. senator Wyrostek, beztroskliwym okrzykiem witający w swym starym towarzyszu organizacyjnym nowego komunistę, umiał namyśleć się nad sensem tego wydarzenia w sposób godny człowieka i polityka — dojrzałego?

— — — — — — — — — — — —

Fundamentem, na którym opiera się system bolszewicki, są ideje: „silnego rządu“ i wszechwładzy państwa. Już pierwsze zdanie uchwalonych dn. 10 lipca 1918 roku „Ogólnych Zasad Konstytucji Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Rad“ przynosi znamienne stwierdzenie, że „podstawowe zadanie“ tej konstytucji „polega na ustanowieniu dyktatury proletarjatu miejskiego i wiejskiego i najbiedniejszego włościaństwa, w formie s i l n e j *(moszcznoj)* Wszechrosyjskiej władzy Rad w celu zupełnego zgniecenia burżuazji“ i t. d. To w żadnej bodaj europejskiej ustawie konstytucyjnej nie spotykane wyrażenie o „silnej władzy“ zasługuje na specjalną całkiem uwagę, ile że przymiotnik ów nie zawiera w najmniejszej mierze idei siły i powagi państwa w stosunku do narodów postronnych, idei jego mocarstwowej potęgi. Ambicją twórców ustroju sowieckiego była władza —„silna“ wobec własnego obywatela i wobec zabezpieczających go przed samowolą władz administracyjnych... zasad i zwyczajów prawnych. Taki, niezrozumiały w europejskiej cywilizacji, ideał „silnego rządu“ odpowiadał zresztą historycznie wytworzonym odrębnościom psychiki rosyjskiej, i słusznie wskazał prof. Stanisław Grabski w swej cennej książce „Rzym czy Moskwa?“ [1]), że „okrucieństwa bolszewików nie wywoływały przeciwko nim buntu. Przeciwnie, utwierdziły w masach ludu strach przed nimi i p o s z a n o w a n i e i c h w ł a d z y, od wieków w Rosji strachem rządzącej. „Bijot — znaczit praw“ (bije — a więc ma rację) mówi rosyjskie przysłowie. Bolszewicy bili niemiłosiernie. W i ę c m i e l i w R o s j i r a c j ę“.

Idea wszechwładzy państwa, wyrażająca się w Sowietach w dążeniu — w miarę możności — do „upaństwowienia“ (etatyzacji) wszelkich przejawów gospodarczego i kulturalnego życia społeczeństwa, jest tak ogólnie znana, iż nie wymaga nawet na tem miejscu szczegółowszego rozwinięcia. Znana jest również i zrozumiała wypływająca z niej w sposób naturalny tendencja do rozbijania, niszczenia wszelkich tradycyjnych zgrupowań oraz instytucyj, wszystkiego tego, co zbiorowości nadaje określony kształt, odrębny, samoistny wyraz duchowy, a uczynienia z niej nieforemnej, plastycznej masy, z której chwilowy dzierżyciel władzy państwowej mógłby lepić wszystko według upodobania. W Rosji, nie posiadającej w swoim dorobku historycznym dziedziczonych po średniowieczu tradycyj samorządu społecznego i pozostałych po nim instytucyj tudzież instynktów zbiorowych, ta działalność niszczycielska w imię wszechwładzy państwa była, rozumie się, ułatwiona i można ją było przeprowadzać konsekwentnie, nie spotykając skutecznego oporu. Dla przykładu warto wymienić choćby sprawę organizacji nauki i wychowania, w szczególności obecne położenie wyższych uczelni. Jak wiadomo, uniwersytety w Rosji cesarskiej powstały stosunkowo niedawno, nie miały też ani owej, w ciągu stuleci narastającej powagi, ani rozlicznych, odwiecznie szanowanych swobód i przywilejów, jak np. Bolonja, Oxford, Heidelberg, Sorbona paryska, Wszechnica Jagiellońska w Krakowie. Nietrudno zatem przyszło rządowi państwa sowieckiego uczynić z nich powolne narzędzie swych aktualnych, politycznych zamierzeń. Skutek był ten, że — jak stwierdza w swych „Wrażeniach z Rosji Sowieckiej“ prof. Charles Sarolea [2]) — „większość... sowieckich wyższych uczelni jest uniwersytetami tylko z nazwy... uniwersytety sowieckie są tylko okaleczonemi szkołami zawodowemi, wytwarzającemi to tylko, czego najwięcej potrzebuje rząd, mianowicie: inżynierów, chemików i żydowskich doktorów“. Władza sowiecka ustawicznie przejęta myślą o konieczności utrwalenia się i wytępienia swych politycznych przeciwników, od pedagogów swych i organizatorów szkolnictwa domaga się przedewszystkiem, aby „dopięli jednego celu, najbliższego ich sercu — wychowali młodych, politycznych agitatorów dla swej sprawy“ [3]). Zadaniem szkoły jest przygotowywać karnych członków i zwolenników partji.

Wszechwładza państwa — w pojęciu bolszewickiem — jednoznaczna jest bowiem z wszechwładzą partji komunistycznej i w ten sposób wyłącznie musi być rozumiana. Bardzo dobitnie sformułował to w swej *„Istorii R. K. P.“* Zinowjew: „Nasza partja korzysta z monopolu legalności. Urzeczywistnia ona dyktaturę proletarjatu i dlatego też jest jedyną legalną partją w Związku republik. Zniszczyła ona wszystkie inne partje, wzięła sobie monopol prasy, monopol wolności w pracy politycznej. Niepodobna urzeczywistnić dyktatury proletar-

[1]) S t a n i s ł a w G r a b s k i: „Rzym czy Moskwa?“ nakładem Księgarni Św. Wojciecha, 1927.

[2]) C h a r l e s S a r o l e a, prof. uniw. w Edynburgu „Wrażenia z Rosji Sowieckiej“, 1925.

[3]) *Ibid.*

jatu bez monopolu legalności dla partji komunistycznej". Być w niezgodzie z partją komunistyczną, znaczy: być „antypaństwowcem"...

— — — — — — — — — — — —

Zabrnąłem w cytaty, co niewątpliwie nie wychodzi na dobre fejletonowi, pozbawiając go obowiązującej w tym rodzaju literackim, gawędziarskiej łatwości i swobody. Dla okupienia się, przerwę na chwilę tok myśli, by opowiedzić (starą i znaną zapewne) anegdotę, jaka mi nieoczekiwanie powróciła na pamięć podczas pisania niniejszych rozważań.

Pewien podoficer zawodowy podobno gorzko użalał się kiedyś, że synkowie jego mają fatalne zamiłowanie do przekleństw i wogóle do ordynarnych wyrazów.

— Nie rozumiem zupełnie,—wzdychał stary— przecież ich wychowuję tak starannie. Skądże, u djabła, te psiekrwie, bydlaki, cholery tak się kląć nauczyły?...

— — — — — — — — — — — —

Powracam do tematu. Jest conajmniej rzeczą wątpliwą, czy p. senator Wyrostek, stwierdzający, iż jego do ostatnich dni kolega partyjny, senator-sanator Boguszewski nieoczekiwanie okazał się... komunistą, zdołałby przekonywająco wytłumaczyć głębsze przyczyny tego bądź co bądź niezmiernie pouczającego wydarzenia. Może dopomógłby mu w tem jego towarzysz klubowy, elokwentny poseł Mackiewicz, znawca Rosji Sowieckiej, który w swej ostatniej broszurze „Myśl w obcęgach", temi słowy spowiadał się ze swoich myśli i wrażeń przy przejeździe przez granicę polsko-bolszewicką:

„Na przystanku Kołosowo, pomiędzy Stołpcami, a Niegorełoje stoi pociąg... Tam, po naszej stronie stała tablica, schowana w zielonych krzakach, na białem tle głosił amarantowy napis: Niech żyje Rzeczpospolita Polska.

Uważam to za niezręczność z naszej strony. Napis tego rodzaju pomniejsza i nasze znaczenie i rolę tej granicy, której pilnujemy. Na uniwersalizm sowiecki odpowiadamy hasłem, które posiada znaczenie tylko dla nas, obywateli polskich. Jakgdybyśmy tylko dla nas pilnowali tej granicy. Dlatego proponuję białą tablicę z krzaków usunąć, a równie śmiało jak bolszewicy przerzucić przez tor kolejowy bramę z winogron — jako symbolu dostatku, jako przeciwieństwa tej koszmarnej nędzy, która panuje w państwie socjalistycznem. Na bramie tej umieścić słowa: „U nas zaczyna się swobodne życie swobodnego człowieka".

„U nas zaczyna się swobodne życie swobodnego człowieka" — pomysł wdzięczny, szkoda, że nie zupełnie oryginalny [4]). Niestety, przy dzisiejszym „kryzysie", z prywatnych kiesek ciężko dobywać grosz na bramy i winogrona, pominąwszy nawet, że pozaoficjalna inicjatywa tego rodzaju mogłaby wydać się ze stanowiska „państwowościowego" podejrzaną. Na szczęście, Stołpce, jak wiadomo, należą do województwa nowogródzkiego. Wojewoda miejscowy, pułkownik Kostek-Biernacki, niewątpliwie, z właściwą sobie energją i szybkością decyzji, sam osobiście zajmie się wystawieniem bramy z proponowanym napisem i sam ją uroczyście otworzy... Nieprawdaż?...

JAN REMBIELIŃSKI

[4]) Podobny projekt nietylko powstał, ale był urzeczywistniony we Francji już przed stu laty zgórą. Może poseł Mackiewicz widział wielokrotnie reprodukowany rysunek Hanpiego w „*Histoire de l'Alsace*", przedstawiający graniczny most na Renie, w Kehl, pod Strassburgiem, na moście zaś tablicę z napisem: „*République française une et indivisible. Ici commence le pays de la Liberté*".

GŁOSY

NAJBARDZIEJ HUMORYSTYCZNYM AKCENTEM w odgłosach politycznych zeszłego tygodnia była chyba replika przedstawiciela BB. w dyskusji, wywołanej wnioskiem Klubu Narodowego na Komisji Oświatowej Sejmu, zmierzającym do umożliwienia senatom akademickim częściowego wprowadzenia w życie zasady „*numerus clausus*". Przedstawiciel grupy rządowej przyznawał, że wniosek zredagowany jest „zręcznie", czyli innemi słowy, że pod względem prawnym nie jest w kolizji formalnej ani z konstytucją, ani z traktatami, podpisanemi przez Polskę w przedmiocie ochrony mniejszości — decydujący był w jego oczach wzgląd inny — że wniosek zrobić może złe wrażenie zagranicą. Niema nic zabawniejszego, niż zapominalstwo naszych pseudo-mocarstwowców. — Wszczyna się wielki hałas około dumnego hasła, a coraz to przybiera się postawę pokory przez nieuwagę. — Jak się nie wstydzić takich „mocarstwowców" i „państwowców", których „racją stanu" jest ta mądrość wyższa, że „mocarstwowość"—to hasło do wzięcia na serjo tylko przez naiwnych? „Gazeta Polska" pisze: „troskę o dobre recenzje zagraniczne pozostawiamy przedstawicielom obcych agentur", a jednocześnie przedstawiciel BB w czynnościach ustawodawczych kieruje się właśnie względem na obcych recenzentów... Z drugiej strony i to godne uwagi, że obóz, który w opinji świata cywilizowanego zapisał się, jako obóz Brześcia, tak czułą okazuje wrażliwość, gdy chodzi o Żydów. Brześć, wybory, pacyfikacja Małopolski Wschodniej, cały *règime*, tak mało europejski — wszystko to poruszało Europę, wywoływało obfite recenzje zagraniczne, lecz w tych razach istotnie nie dbano o reakcję Zachodu. BB okazało tu tak doskonałą nonszalancję wobec opinji europejskiej, że niewiadomo, czemu nie zwinięto Wydziału Prasy i Propagandy przy MSZ. Jak nagle pozbyło się wyniosłej miny, gdy przyszło do omówienia sprawy *numerus clausus*! Jakie przejście, — jaki charakterystyczny grymas na twarzy „mocarstwowca" dzisiejszych czasów!

DZIWNA JEST LOGIKA SANATORÓW I DZIWNE ICH POCZUCIE MORALNE. Młodzież Wszechpolska ogłosiła list niejakiego p. Maliszewskiego, członka Legjonu Młodych do p. Mikiciuka, sanacyjnego prezesa Bratniej Pomocy Wyższej Szkoły Handlowej. W liście tym nazywa „kompanem" niejakiego Czyryckiego relegowanego z W. S. H. przez sąd koleżeński za defraudację 5 000 zł. Defraudacja Czyryckiego, dodajmy, była w roku zeszłym powodem zwycięstwa sanacyjnej opozycji, która szła z hasłem „czyszczenia stajn Augjasza". Zdawaćby się tedy mogło, że po ogłoszeniu rewelacyjnego listu pierwszym odruchem dotkniętych w swej ambicji sanatorów będzie wyjaśnienie owej nazwy „kompan". Nic podobnego. Pierwszym odruchem było: jakim sposobem ów przeklęty list dostał się w ręce wszechpolaków?

List ogłoszony był w piątek. W sobotę Legjon Młodych ogłosił, iż fotografje listu i sam list zostały... sfabrykowane w prywatnym laboratorjum młodzieży wszechpolskiej. W niedzielę okazało się, z nadzwyczajnego dodatku sanacyjnego „Buntu

Młodych“ że nic podobnego. List był autentyczny, adresat (p.Mikiciuk) otrzymał go we właściwym czasie, przeczytał, nie znalazł (zapewne) w nim nic dziwnego i schował do biurka prezydjalnego razem z kilkoma innemi. Było to, jak można sądzić z daty listu, w początkach grudnia. W drugiej połowie lutego p. Mikiciuk zauważył, że między grudniem a lutym „ktoś“ włamał się do biurka i skradł ten list. Kiedy to jednak było, p. Mikiciuk nawet nie przypuszcza. Tak przynajmniej sądzić można z grobowego milczenia prasy sanacyjnej na temat daty „włamania“.

To jednak wystarcza, aby zawiadomiona o „kradzieży“ policja (polityczna) spełniła swój obowiązek. Aresztowano pp. J. Paprockiego i J. Miłaszewskiego, którzy oddawali ulotkę do druku. Szukali skrupulatnie fatalnego listu. Oczywiście obaj aresztowani zaprzeczyli z oburzeniem, aby mogli mieć coś wspólnego z włamaniem. Nie mieli powodu kryć, skąd list mają. Dostali go od p. Jana Mosdorfa, prezesa Rady Naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej. Ten, badany, nie uchylił się od wskazania jaką drogą list wszedł w posiadanie młodzieży wszechpolskiej, gdyż droga ta była zupełnie legalna. Zażądał tylko sprecyzowania protokularnego danych co do rzekomego włamania, tak, aby p. Mikiciuk nie mógł swych zeznań zmienić. Na tem sprawa chwilowo utknęła. Ciekawe, że p. Mikiciuk już zmienił swe zeznania, a mianowicie cofnął oskarżenie o skradzenie mu wraz z listem 20 złotych.

Opinja przyjęła doniesienia prasy sanacyjnej o „kradzieży” wzruszeniem ramion. Już tyle razy czytała o „złodziejach grosza publicznego“ o „wesołych budżetach“, oszczerstwa, które Moraczewski rzucał na b. min. Zdziechowskiego, a „Gazeta Polska” na woj. Dębskiego, gdy ten był uwięziony w Brześciu. Paradny jest widok organu p. Miedzińskiego, strojącego się w togę Katona.

Sprawa wyjaśni się wkrótce w sposób kompromitujący dla „sanacji“. Wystarczy na to parę zeznań świadków, a później parę rozpraw o oszczerstwo. Ale wartoby też pomyśleć o wyjaśnieniu sprawy Czyryckiego. Słowo „kompan“, to jednak nietylko dźwięk, ale i pewna określona treść.

NAUKA I LITERATURA

NAJNOWSZA POWIEŚĆ MIŁASZEWSKIEJ

„NA CZTERY WIATRY“, ostatnia powieść Wandy Miłaszewskiej, porywa wartkim biegiem narracji, a interesuje tłem obyczajowem — dzisiejszego warszawskiego życia. Zaledwie w krótkich pauzach, przystając dla nabrania tchu, ma czytelnik czas zastanowić się, że oto ta powieść, tak dobrze się czytająca, oznacza przecież nowy etap rozwojowy talentu autorki; że gdy wielbiciele utworów Miłaszewskiej, tak liczni i tak do jej twórczości przywiązani, wyrobili sobie już zbyt sztywne zdanie o cechach jej talentu, możliwości jego wcale nie wyczerpały się w pokaźnym już jej dorobku pisarskim. Wanda Miłaszewska energicznie idzie naprzód, i lekkomyślne byłoby pochopne nakreślanie granic jej możliwościom twórczym. Ostatnie jej studjum obyczajowe dowodzi nowego postępu w opanowaniu techniki beletrystycznej. Widać to we wprawnych skrótach narracyjnych, w stanowczości, z jaką narysowano charaktery. Rozszerzyło się pozatem koło obserwacji. Środowisko, w którem umieściła swoje postaci, Warszawę dzisiejszą, maluje autorka bez konwencjonalnego sentymentu, natomiast z wyraźną chęcią pokazania prawdy. Nie trzeba dodawać, że ze szczególnem zainteresowaniem przyglądamy się miastu, widzianemu jej oczami. Wydawać się nam nawet może, że zbyt szybko postępuje degryngolada rodziny Nideckich. Matka była jeszcze z rodziny ziemiańskiej, ze wsi, tam spędziła dzieciństwo. Ale dzieci urodziły się już i wychowały w Warszawie. Witold nie przysporzy chluby swoim imiennikom: po śmierci matki, jako głowa rodziny, toleruje romans siostry z szefem jej z biura, póki są nadzieje na małżeństwo; gdy się rozwieją, przybierze minę obrażonego purytanina i wtedy dopiero zgromi Irenę za skalanie honoru rodziny. Sam pracuje w banku — jako buchalter, — marzy o wywindowaniu się w górę przez ożenek z bankierówną... Ambitny *businessman* przy stole, w gronie rodzeństwa rozczytuje się w cedułach giełdy; zasłonięty płachtą zadrukowanego papieru, siorba głośno, popijając herbatę, a gdy wyciera usta, to „niestety obrusem“, nie używając serwetki.. Nie posuwa się dalej w karjerze życiowej, gdy żegnamy go pod koniec powieści. Czy młodszy Bronek został, w myśl swych planów, oficerem? Zdaje się; — wyraźniej ukazuje go powieść, jako szulera. Przepuściwszy pieniądze Jadzi, najmłodszej z czworga latorośli rodu, skończy, palnąwszy sobie w łeb z rewolweru. Najtroskliwiej skupia autorka uwagę na losach starszej siostry, w której z uderzającą w niektórych rysach prawdą ucieleśniła jeden z warjantów współczesnej Warszawianki. Jakże prawdziwe to np., że Irena zajęta wyłącznie własną osobą, z wysiłkiem tylko i na chwilę oderwać się umie ku innym tematom i przedmiotom. Gdy najmłodsza Jadzia zapłakuje się jeszcze u łoża zmarłej matki, Irena „poprawia przed lustrem rozpaczliwe kosmyki włosów, których od wczoraj nie miała czasu ukarbować, a jednocześnie bada z uwagą rozwój małego pryszczyka na lewem skrzydełku nosa“. Przecież, przy całym egotyzmie, to tylko stworzenie instynktu, bezinteresowne, niepozbawione nawet odrobiny godności, a zupełnie nie kierujące się kalkulacją. Pod tym względem różni się bardzo od innego typu Warszawianki, reprezentowanego przez koleżankę z pensji, potem zdolną aktorkę Romę Bagińską. Roma z humorem i dokładnem wyrachowaniem sprzedaje się coraz nowym wielbicielom i robi karjerę gwiazdy scenicznej, a pomaga jej w tem niemało zupełny brak lojalności w stosunku do Ireny. Ta ostatnia traci narzeczonego na rzecz Romy, i skutkiem reakcji uczuciowej po zawodzie, po powrocie do domu odrazu pada w ramiona studenta politechniki, sublokatora przy rodzinie Nideckich, który skrycie a beznadziejnie podkochiwał się w niej oddawna. Przypadkowo z postępku starszej siostry zdała sobie sprawę i młodsza, złotowłosa Jadzia, właśnie pełnoletnia. Dwadzieścia jeden lat przeżyła zamknięta w sobie, od spraw świata oddzielona nieszczęsnem kalectwem wzroku. Była naturą idealną, ale główną jej siłą było raczej nierozumienie zła, co działo się dookoła. Pierwsze uświadomienie sobie rzeczywistości zadało cios podwójnie okrutny: bo Jadzia, zaledwie się tego domyślając, durzyła się przecie w tym samym studencie politechniki, sąsiedzie Nideckich. Cios tak odczuła, że po samobójstwie i życiowym zawodzie starszej siostry, odrazu poszukała spokoju w klasztorze. I czytelnik troszkę niepokoi się,

że na nieszczęścia rodziny Jadzia, najszlachetniejsza lecz najmniej przez życie doświadczona, znalazła taką szybką odpowiedź. Poczem gotów może trochę więcej sympatji i współczucia dać wykolejonej Irenie...

Mówiąc o schemacie akcji, niema miejsca na przypomnienie figur drugorzędnych, pewnością rysunku nie ustępujących czasem postaciom pierwszoplanowym. Wprawa pisarska, ironja, obserwacja i inteligencja idą o lepsze przy kreśleniu konturów takich sylwetek, jak ciotka Mroczkowa, czy maszynistka Tamara Szpilman. Pierwsza rywalizuje z Dłużewską Perzyńskiego (jeśli pamiętacie tę ostatnią z powieści „Raz w życiu"), druga powstanie swe zawdzięcza inteligencji powieściopisarskiej, jakiej mało przykładów znaleźć można u naszych współczesnych beletrystek.

Powieść, jak powiedzieliśmy na początku, najłatwiej przeczytać jednym tchem.

W. J. C.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Komitet państwowej nagrody literackiej przyznał na posiedzeniu w d. 8 marca nagrodę znakomitemu poecie i dramaturgowi, Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu z Krakowa. Nagroda tegoroczna była wyznaczona za najlepsze dzieło z trzech lat ostatnich. W grę więc wchodzić mogły utwory dramatyczne Rostworowskiego: „Niespodzianka" i „Przeprowadzka". W tych dniach otrzymaliśmy wydany przez księg. św. Wojciecha w Poznaniu nowy tom poezyj tego autora p. t. „Zygzaki".

Odznaczenie Rostworowskiego spotka się z powszechnem uznaniem, jako najzupełniej należne temu wyjątkowej miary twórcy. Wysuwano kandydatury: Boy'a, Dąbrowskiej, Godlewskiego, Iłłakowiczówny, Nałkowskiej, Ossendowskiego, Weyssenhoffa i Wołoszynowskiego.

*

Staraniem warszawskiej młodzieży akademickiej, mianowicie dziewięciu zrzeszeń katolickich, odbyła się w d. 6 marca w sali teatru Polskiego bardzo podniosła i doskonale zorganizowana akademja ku czci Zygmunta Krasińskiego. Trzeba w tem widzieć poważne znamię czasu, że myśl narodowa zwraca się właśnie teraz ku autorowi „Nieboskiej Komedji", którego poprzednie pokolenie usiłowało wykreślić z trójcy naszych wielkich poetów romantycznych. Programowość tego wielkiego imienia zaznaczył na wstępie przewodniczący akad. Marjan Bogacz, (Naczelny Kom. Akad.), a na zamknięcie akad. Andrzej Ruszkowski (prezes związku akad. katolickich) a w pięknem przemówieniu wprost wyznał, że młodzież widzi w Krasińskim odtrutkę na jad, szczepiony dzisiejszej literaturze. P. Ruszkowski odczytał deklarację, podpisaną przez wszystkie niemal zrzeszenia młodzieży, domagającą się przeniesienia prochów Krasińskiego na Wawel.

W programie akademji były pieśni chóru akad. „Ambrosianum", pięknie wykonane, doskonała deklamacja akad. panny Janczewskiej, śpiew ak. Zwidrynówny i trzy prelekcje. Pierwszą, jako zagajenie, wygłosił witany owacyjnie Józef Weyssenhoff, drugą (Krasiński jako artysta) — znakomita polonistka p. Zofja Szmydtowa (Gąsiorowska), trzecią K. M. Morawski (Krasiński a dzień dzisiejszy). Wielka sala teatru Polskiego była całkowicie zapełniona; prelegentów uważnie słuchano. Było to jedno z piękniejszych zebrań, urządzanych pod mianem akademji.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Wydaniu tomu XV-go „Nauki Polskiej" towarzyszyła myśl trwałego uczczenia jubileuszu Kasy im. Mianowskiego, która obchodziła niedawno pięćdziesięciolecie swej zasłużonej działalności. Z rocznicą ową związane jest genetycznie obszerne studjum dra Z. Szweykowskiego p. t. „Zarys historji Kasy im Mianowskiego", zagajające tom jubileuszowy. Trudno byłoby znaleźć Kasie bardziej powołanego monografistę. Dr. Szweykowski, autor doskonałej książki o „Lalce" Prusa, skupił swą uwagę badawczą na okresie pozytywizmu i jest jednym z nielicznych znawców naszych tej epoki Kasa zaś im. Mianowskiego wyrosła na glebie pozytywistycznej, jako owoc myśli i usiłowań społecznych tamtego, postyczniowego pokolenia. I dlatego historja instytucji, znakomicie typowej dla czasów, które ją powołały, czekała takiego właśnie pióra. Trudno tu streszczać wyniki poszukiwań autora. Zaznaczmy jedynie, że nieprzebranego bogactwa źródeł historycznych z pierwszej ręki dostarczyło monograficie archiwum Kasy, najtroskliwiej przez niego zbadane, pełne cennych i niezastąpionych materjałów. Niedawno dr. Szweykowski ogłosił pochodzące z tego zbioru nieznane autografy — dość powiedzieć — Sienkiewicza. Poza archiwaljami wiele źródłowych naświetleń wydobył autor z prasy współczesnej, która o Kasie im Mianowskiego chętnie pisała. Wszystko to do monografji Z. Szweykowskiego zaciekawia tem więcej, ponieważ autor w trosce o prawdę historyczną daleki jest od „jednostronnego oświetlenia przeszłości... instytucji w tonie chwalczej apoteozy". Objektywny sąd historyka góruje tu nad tendencją jubileuszowego dziejopisa. Autor rzuca materjał historyczny na szeroki ekran czasów i ich prądów myślowych, niezawodną ręką wskazując w obrazie epoki miejsce spraw i rzeczy opisywanych. Im bliżej nas, tem bardziej wymyka się z pod kontrolującej oceny perspektywa dziejowa; niemniej dr. Szweykowski zwycięsko usunął trudności, narzucone przez charakter badań. Zarówno z uwagi na aktualne, jak ważkie rezultaty autora, warto monografji owej poświęcić dłuższą chwilę uwagi.

Wstęp niejako do pracy Szweykowskiego stanowi krótki zarys prof. Franciszka Bujaka, wyznaczający „Rozwój nauki polskiej w latach 1800 do 1880"; lapidarność przedstawienia oraz syntetyczna konstrukcja zalecają szczególnie artykuł lwowskiego uczonego, który znakomitą erudycję biblioteczną ożywia intuicyjnie bystrym sądem historyka i ekonomisty.

Treść dalsza tomu XV-go „Nauki Polskiej" idzie po linji ujawnionych dotychczas zainteresowań pisma. Znajdziemy tedy wśród materjałów do badania psychologji twórczości naukowej dwa ogłoszone bezimiennie życiorysy, przyrodnika i humanisty, oraz—dalej—szereg artykułów o zadaniach i potrzebach nauki polskiej w najrozmaitszych jej dziedzinach: od fizyki technicznej do slawistyki. Tadeusz Makowiecki wypowiada kilka interesujących uwag „W sprawie ustalenia programu badań w dziedzinie kultury".

Tom uzupełniają zwykłe działy: kronika polska, zagraniczna, recenzje. W kronice polskiej zasługuje na uwagę nowa rubryka: listów do redakcji, gdzie rozważać można wszelkie projekty i pomysły organizacyjne, zabierać głos w sprawach bieżących, jakie narzuca nieustanny rozwój polskiej twórczości naukowej. O potrzebie i aktualności działu świadczyć może zainteresowanie, które powszechnie wywołał.

Sygnalizując ukazanie się tomu XV „Nauki Polskiej", dodajmy, że bogata i żywa treść wydawnictwa nasuwa niejedną myśl ogólniejszą, wykraczającą poza ramy tych kilkunastu wierszy. I dlatego warto do tych spraw powrócić.

(T. M.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Roman Dmowski, przebywający obecnie w Algierze, pracuje nad nową książką. Ukaże się ona w druku jeszcze tej wiosny. Niewątpliwie przełożona będzie na obce języki, cały świat bowiem polityczny będzie nią zainteresowany w wysokim stopniu.

Trzecie wydanie dzieła Dmowskiego „Świat powojenny i Polska" zapewne wkrótce będzie wyczerpane. Poczytność tej książki jest wyjątkowa w naszych stosunkach. Zgórą dziesięć tysięcy egzemplarzy w ciągu kilku miesięcy!

*

W tych dniach ukazuje się w obrocie księgarskim książka prof. Romana Rybarskiego p. t. „Przyszłość gospodarcza świata". Dzieło to znakomitego ekonomisty i polityka obudzi powszechne zainteresowanie.

W numerze niniejszym „Myśli Narodowej" ogłaszamy według rękopisu drobny urywek tej pracy.

*

Nakładem Tow. Wydawniczego „Patria" ukaże się niebawem książka, będąca wykładem zasadniczych poglądów obozu narodowego na sprawę ruską, p. t. „Polska polityka kresowa".

*

Wytrwałym badaczem literatury polskiej i odkrywcą przeróżnych jej sekretów jest Wiktor Hahn, któremu zarówno w erudycji jak płodności mało kto dorówna. Wielki na tem miejscu żal wypowiedzieć należy, że od kilku lat nie

mieliśmy w rękach żadnej jego pracy obszerniejszej. Od Hahna przecie, nie od kogo innego, mamy prawo wyczekiwać monografji o podobnym mu pracowitością Józefie Ignacym Kraszewskim, do której preludjami były cenne opracowania dzieł Kraszewskiego w zawieszonej niestety „Bibljotece Narodowej". Narazie poprzestać musimy na pracach pomniejszych, których rozmiary nie są jednakże bynajmniej wykładnikiem ich wartości; każda z tych rzeczy drobnych, których tyle sypnął Hahn ostatniemi czasy, zadziwia ogromem erudycji, zaleca się jasnością, ma na celu pożytek badawczy. Mają one wszystkie niemal cechę aktualności. Sprowadzenie zwłok Słowackiego dało asumpt do napisania rozprawki o twórczości dramatycznej tego poety. Rocznica Szymonowica przyniosła rewelacyjną wprost pracę o tym „najwybitniejszym przedstawicielu humanizmu polskiego"; dowiadujemy się z niej, że nasz poeta w swej twórczości łacińskiej głośny był w Europie całej i stawiany nawet ponad Sarbiewskiego — przeto godzien jest zbiorowego wydania krytycznego, takiego, jakiego już doczekał się Kochanowski, Krzycki, Husowczyk i Janicki. Rocznicę Ibsenowską uczcił Hahn rozprawa „Henryk Ibsen w Polsce"; gdzie nietylko omówił prace, poświęcone jego twórczości oraz przekłady, ale przeznaczył też wiele miejsca poetom, którzy w pewnej dobie swego życia szli torem norweskiego dramaturga (Przybyszewski, Rabski, Wyspiański, Konczyński, Rittner). Bibljograficzne upodobania Hahna, zdawna cenione na polu polonistyki, rozciągają się i na literaturę klasyczną starożytną; tom jeden tej bibljografji już wyszedł, co do drugiego wyraził Hahn trafne dezyderaty. Jak zamiłowania filologiczne skłoniły go do napisania studjum o filomacie Jeżowskim, tak bibljografja przywiodła do zajęcia się arcybibljografem polskim K. Esteicherem: dowiadujemy się,że uczony ten oddawał się też pracy literackiej m. in. jako tłumacz dzieł literatury francuskiej i niemieckiej. Ale najciekawszą z najnowszych prac Hahna jest wzruszająca opowieść o losach Anny Różyckiej, córki generała z r. 1831, barbarzyńsko prześladowanej przez „najmiłościwszego" cesarza Austrji, Franciszka Józefa. (J. B.)

*

„Świat szuka nowej drogi!" Oto tytuł ostatniej broszury **Stanisława Szpotańskiego**, którego artykuły polityczno-społeczne, ukazujące się w fejletonie „Kurjera Warszawskiego", pełne odpowiedzialności słowa, należą do publicystyki najbardziej poczytnej. Broszura owa nawiązuje do tego samego punktu, z którego wyszedł B. Suchodolski, autor niedawno tu streszczonych rozważań o „Idei postępu". Szpotański stwierdza podobne zachwianie się równowagi moralnej epoki wczorajszej. „Wspaniałe sklepienie, wzniesione nad ludzkością przez wiek XVIII, podtrzymywane i wzmacniane przez cały prawie wiek XIX, runęło". Niedawne orjentacje myślowe (ewolucjonizm, który przeorał wszelkie dziedziny twórczości) okazały się coraz mniej pewne i zawodne. „Upadła wiara w ewolucję, jako doskonalenie się, upadła wiara w naukę, jako w najwyższą siłę dobroczynną". Świat szuka nowej drogi. Szukał jej zrazu na gościńcu klas społecznych i t. p. „ustroju dla wszystkich", „ustawicznie wskazywano na proletarjat, jako na klasę, która walcząc o swój interes, jest jednocześnie bojownikiem o szczęście powszechne". Cóż się jednak stało? Proletarjat zwyciężył w Rosji i stał się panem sytuacji w Australji. Tymczasem „w Australji wyrosła, w Rosji rośnie oligarchja proletarjatu". Dano dymisję marzeniom o ustroju dla wszystkich; pomyślano „o ustroju wyłącznie dla siebie". Bolszewizm, który okazał się jedną z form najazdu wewnętrznego, znieprawił się moralnie i wpadł w degenerację, podniesiony do poziomu klasy panującej, która uciska i prześladuje klasy inne. Świat to widzi — i ogląda się za nowemi szlakami. Żarliwe i głębokie przekonanie autora, dalekie od okolicznościowych frazesów i nieobowiązujących uogólnień, wskazuje nieomylnie jedyny teren, „na którym można i na którym się szuka nowych dróg". To demokracja. „Demokracja wymaga wysokiej oświaty, wysokiej społecznej kultury, wyrobionego, na wysokim stojącego poziomie, ludzkiego materjału". Wiara Szpotańskiego w demokratyczną prawdę dzieli się z nami przekonaniem, że tylko ona „wytwarza i wytwarzać będzie nowe dążności i prądy"; że tylko ona zdolna jest „do urabiania wchodzących w życie mas coraz szerszych". Porozumienie społeczne! Oto daleka perspektywa nowego wielkiego okresu cywilizacyjnego, który „logicznie i naturalnie rozpocząć się powinien" pod wezwaniem prawdziwej demokracji. Oto jest jednocześnie optymistyczny akord końcowy rozważań autora.

Krytykę walorów ideowych broszury Szpotańskiego, ustępując piórom bardziej powołanym, niechaj wolno zaznaczyć ukazanie się niewielkiej tej książeczki; w osobie zaś autora dojrzeć publicystę o szerokich horyzontach, umiejącego pisać rzeczy interesujące wówczas nawet, kiedy poglądy jego wywoływać mogą niejedno zastrzeżenie. (T. M.)

*

Zwierzał się kiedyś arcymistrz wiersza polskiego Słowacki, że kiedy chciał Sybir zamknąć w triolety, Muza została mu „rymami dłużną, a więc stąd poszło, że pisał prozą". Niewdzięczną bowiem jest rzeczą zamykanie jakiejś przestrzeni geograficznej w krocie jednakowych zwrotek; praca taka prędzej czy później staje się podobną do pomiarów triangulacyjnych... Nie uląkł się widocznie tego niebezpieczeństwa znany anglista dr. **Helsztyński**, skoro postanowił zamknąć — nie w triolety wprawdzie, ale w sonety — całą Wielkopolskę z wszystkiemi jej miastami i miasteczkami od Środy aż do Piątku i od Bydgoszczy aż po Krotoszyn. Dotąd, w ciągu niespełna roku, wyszło już pięć tomów tego sonetowego cyklu: „Sonety inowrocławskie", „Gostyń w pieśni", „Na Pałukach", „W Grodzie Halszki", „Międzyrzecze", a zapowiedziano następnych dwanaście. Już z tytułów poznać, że każdy tomik poświęcony jest ściśle określonej okolicy, zamkniętej bądź granicami geograficznemi bądź historycznemi. Wprawdzie łacińska nazwa „okolicy" brzmi *regio*, jednakże podtytuł „sonety regjonalne" powtarzający się niemal na każdym z tomów ma znaczenie czysto formalistyczne. Nie nosiły nazwy „regjonalnych" młodzieńcze sonety Kasprowicza „Z chaty", a czuło się w nich puls **życia** danej okolicy, widziało się i słyszało to, co w każdej okolicy jest najistotniejszą rzeczą: człowieka i przyrodę; co więcej, rozumiało się, że autor tu wszędzie „cząstkę swej duszy zostawił". Helsztyński często omawia te same niemal okolice, w których żył Kasprowicz—ale omawia je tylko, nie chwyta ich głosu. Kto przeczyta wiele sonetów Helsztyńskiego i na ich podstawie będzie chciał sobie wyobrazić Wielkopolskę, będzie miał wątpliwości, czy w owych regjonach istnieją zwierzęta i ptaki — prócz raz wspomnianych słowików — drzewa i kwiaty — prócz raz wspomnianego „krzewu (!) lebiod" — ludzie dzisiejsi oraz domy ludzkie. Na poetycki pejzaż nie zdobył się H. ani razu. Z przypisów, zapełniających niemal stale siódmą część każdego tomu, wnosić musimy, że główną podnietą pisarską stanowiła nie autopsja, nie przeżycie własne samego autora, ale stosy różnych książek, czasopism, artykułów, ba, encyklopedyj. Za temi źródłami powtarzał on nawet ich omyłki, np. haniebnie przekręcone przez Gumowskiego nazwiska osadników pałuckich lub nazwisko nieistniejącego Mateusza z Szamotuł — gdzie powinien był być Maciej, wcale nie odkrywca kulistości ziemi (o tem bowiem już dawno wiedziano z dzieł choćby Cycerona), lecz zwykły bakałarz i mętny astrolog krakowski. Tak samo trudno nazwać, nieznanego nawet historykom literatury, wierszopisa Wacława Szamotulskiego „mistrzem ducha"... Wogóle do szumnych przydomków ma Helsztyński szczególną predylekcję; owe żnińskie Temistoklesy, Milcjadesy, Demostenesy, Herkulesy, Atlasy żywo nam przypominają panegiryczną manjerę poezji XVII w. Złudzenie powiększają stłoczone i niezawsze jasno się tłumaczące metafory, które tym wznowionym „Gniazdom cnoty" czy „Pandorom starożytnym" mają być ozdobą, a są tylko ciężarem, pozbawiającym je do reszty swobody ruchów. Tam gdzie autor pisze o swych stronach rodzinnych, udaje się mu być bardziej prostym i naturalnym, czyli zbliżyć się do tych dwóch pierwiastków, które są podstawą wszelkiej szczerości. I zaznaczyć należy że te zbiorki, gdzie autor najwięcej stłoczył rzekomych ozdób stylowych, są najsłabsze pod względem stylistycznym („Pałuki", „Inowrocław"); cykl „Międzyrzecze" zaś jest i najprostszy i najlepszy artystycznie. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wobec zainteresowania, jakie budzi sytuacja gospodarcza w Stanach Zjednoczonych, warto zaznaczyć ukazanie się tłumaczenia francuskiego książki niemieckiego ekonomisty dr. **Maurycego J. Bonn'a** p. t. *„Prosperity"*. Zawiera ona analizę kryzysu gospodarczego, który się rozpoczął w r. 1929, opartą na dobrej znajomości stosunków amerykańskich. (K.)

*

Mamy przed sobą trzy książki o wojnie. Wszystkie trzy wynikają z troski o pokój. Zarówno *„La paix en péril"* **Jacques Kayser'a**, jak *„La Fin des Aventures"* — **Guglielma Ferrero**, jak *„La guerre de demain"* — **Ludwika Bauera**. Najmniej interesująca ze wszystkich pierwsza, autor jest doktrynerem pacyfizmu i widzi możność zapewnienia pokoju przez pakty, arbitraże i t. p. Ciekawa może ze względu na to, że p. Kayser, radykał francuski, zajmuje w sprawie rewizji postanowień terytorjalnych traktatów stanowisko zdecydowanie niemieckie. Pozatem czytać nie warto. P. Ferrero jest czcicielem myśli wieku XIX, konsekwentnym liberałem. Nie całkiem sceptyk w stosunku do Genewy i Locarna, jednakowoż wolałby, gdyby politycy europejscy myśleli o zabezpie

czeniu długotrwałego pokoju zamiast gonić za nieuchwytną chimerą usunięcia wojen raz na zawsze. Ciekawe jest to, co mówi o polityce i wojnach wieku XVIII, wieku monarchji i arystokracji, przeciwstawiając je polityce i wojnom wieku XIX, wieku demokracji. Zasługuje bezwzględnie na przeczytanie książka p. Bauera. Autor, żyd i socjalista, jest zwolennikiem skasowania granic i ograniczenia suwerenności państw, lecz zna doskonale położenie polityczne światowe i to, co mówi o realnych stosunkach i zagadnieniach, jest interesujące i pouczające. Djagnozę stawia dobrze, leczenie zaleca złe. (S. K.)

*

Literatura, dotycząca światowego kryzysu gospodarczego, jest coraz obfitsza we wszystkich krajach. Zagadnieniami, związanemi z kryzysem, zajmuje się także pierwszy faszystowski minister sarbu p. Alberto de Stefani w książce p. t. „*La deflazione finanziaria del mondo*“. Jest to zbiór artykułów, poświęconych różnym sprawom gospodarczym i finansowym; kilkanaście zawiera uwagi o kryzysie. Autor wskazuje na decentralizację przemysłu, jako na jedną z głównych przyczyn kryzysu, zajmuje się jednak szczególnie inflacją kredytową, która kryzys zaostrzyła, oraz wskazuje na deflację jako na warunek naprawy. (K.)

*

Pomimo bliskiego sąsiedztwa z Rumunją, nie znamy dobrze tego kraju, nie mamy odpowiedniej literatury, nie mamy dzieł, z których choć pobieżnie moglibyśmy się zapoznać zarówno z geografją kraju, z wielu względów ciekawego, jak z różnemi dziedzinami życia jego mieszkańców. Nasz rynek księgarski zresztą wogóle nie obfituje w książki, informujące należycie o krajach obcych, jak też nie posiada z nielicznemi wyjątkami podręczników do nauki różnych języków. Polacy muszą uciekać się w tych wypadkach do podręczników i książek, pisanych w jakimbądź z najbardziej znanych języków europejskich. Jedną z podobnych książek jest dzieło pisane po włosku: „*La Grande Romania*“ (Wielka Rumunja), której autorem jest Paolo Terruzzi. Doskonały obraz współczesnej Rumunji nabiera prawdziwie żywych barw dzięki inteligentnemu ujęciu przez autora poszczególnych czynników, składających się na całość książki. Autor, który, mieszkając długo w tym malowniczym kraju Karpat i Dunaju, przebiegł go niejednokrotnie wszerz i wzdłuż, olśniewa czytelnika jako geograf, historyk, polityk, a jednocześnie jako esteta. Tom zdobią liczne i piękne ilustracje. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NIEKTÓRE okresy w sztuce, bez względu na ilość i wartość dzieł wydanych, w swych założeniach ideowo-artystycznych wydają się być szczęśliwsze dla pewnych dziedzin sztuki, dla innych zaś mniej.

I tak, nie ulega wątpliwości, że impresjonizm szczególnie owocny stał się dla malarstwa, rzeźbie natomiast przysłużył się w stopniu daleko mniejszym. Oczywiście, nie mam na myśli zagadnień koloru, które w tym wypadku nie mogą być brane pod uwagę. Więcej już liczyć się należy z wartościami kształtu i bryły, nienależycie przez impresjonizm ocenianemi. Lecz to są tylko znamiona, charakteryzujące kierunek impresjonistyczny, a nie jego istota. W niej przedewszystkiem — mojem zdaniem — kryło się niebezpieczeństwo zagrażające rzeźbie. Impresja—wrażenie, usiłowanie uchwycenia płynności chwili, jedyność momentu, jeden z wielu przypadków—przypadkowość, mowa niedopowiedzeń, właściwsza raczej malarstwu i poezji,— wszystko to mogło postawić rzeźbę (i postawiło) w sytuację szczególnie trudną. Jak wyrazić wrażenie w rzeźbie, jak oddać nieuchwytność w materjale najbardziej konkretnym? Obraz jest cały udaniem, niema w nim nic prawdziwego; on kłamie i suggestjonuje nas tak dobrze, iż wierzymy, że to życie samo! Natomiast rzeźba jest rzeczywistością niemal taką, jak my: można ją unieść, dotknąć, objąć rękoma, obejść wkoło. A jednocześnie nie posługuje się równie obfitym arsenałem środków udawania jak malarstwo. Jakże więc uwierzyć w życie tego, co niemal nami wydaje się być, a w istocie tak bardzo od nas się różni?

Malarstwo impresjonistyczne, posługując się barwą, utrwalało wrażenia. Rzeźba operuje kształtami; zestawiając je w ten lub inny sposób, może nadać całości pewien wyraz. Wyraz ten nazwijmy impresjonizmem formy. Rzeźba robiona „na wyraz“ znajduje się w najbliższem sąsiedztwie impresjonizmu. Wpływy tego kierunku były jeszcze całkiem żywotne w pierwszych latach twórczości Dunikowskiego, przypadających na okres secesji, niezbyt fortunny dla plastyki, a przedewszystkiem rzeźby. Małych i średnich rozmaite „izmy“ porywają często i niosą niby nurt bystrej rzeki. Daleko ciekawszą jednak wydaje się kwestja, w jakiej mierze czas znaczy dzieła największych twórców, czyli innemi słowy, kształtując swoją epokę, na ile sami zarazem jej ulegają. Ślady czasów, w których tworzył, odnajdujemy i we wcześniejszych dziełach Dunikowskiego. Znajdujemy je w asymetrycznej, często kapryśnej sylwecie rzeźb, w pomyśle — temacie, który nieraz ledwo się mieści w granicach rzeźbiarskich możliwości. Świadczy o nich pozatem chociażby tak drobna, lecz zarazem charakterystyczna rzecz, jak podanie swych znakomitych prac w niedbałej szacie zewnętrznej: np. surowy i brudny gips cyklu kobiet brzemiennych.

Dostajemy klejnoty w oprawie godnej świecidełek. (Inna sprawa, że dziś często robi się odwrotnie). Później artysta sięga po drzewo, pracuje w tym materjale i już się z nim nie rozstaje, tworząc szereg najpiękniejszych portretów i głów. Te głowy przestała więzić natura, artysta tchnął w nie wyraz i zostały powołane do życia własnego. Śmiałemi zaciosami siecze twarz urabianą z drzewa, prawa jej strona nie upodabnia się całkiem do lewej, a jednak całość jest taką właśnie, jaką być powinna—przez tajemnicę sztuki. Po okresie niesłusznego dla rzeźby lekceważenia bryły i jej architektury, niedawny kopciuszek znów powrócił do łaski. Ba! poczyna być despotą. Dużo dziś i słusznie mówi się o poczuciu bryły. Racja. Młodzi rzeźbiarze umieją się z nią obchodzić, rzeźbią według najlepszych zasad i dają nam często w rezultacie tylko logicznie obciosany głaz. Na takiem tle dnia dzisiejszego Dunikowski jest wyjątkiem, przez odrębność swego talentu, nietylko przez jego ogrom. Trudno odmówić zwartości architektonicznej i poczucia bryły jego portretom, ale ona nie staje się celem samym dla siebie, jak u innych, lecz stanowi warunek nieodzowny, jakby sam przez się zrozumiały, dla ujawnienia koncepcji artysty.

Dunikowski nie stylizuje. Nie robi tak ulubionych dziś główek i masek jakichś istot bezpłciowych o mdławym uśmieszku. Przez syntezę kształtu dąży ku syntezie wyrazu. Odrzuca rzeczywistość natury i daje wzamian prawdę artysty. I przytem wszystkiem jego ludzie są ludźmi żywymi, z krwi i kości.

Synteza i wyraz, charakter i prostota — oni się mieszczą w tych granicach rozległych.

Dunikowski nieraz oglądał się poza siebie i patrzał w przeszłość sztuki. Wielki twórca nie wstydzi się przyznać, że miał rodziców. Matkowały mu różne epoki. Ale nie o to chodzi, ile wziął; ważniejsze jest to, co dał. A ofiarował nam tak wiele, że kilku zaledwie współczesnych może z nim się mierzyć.

Gęsty las rzeźb Dunikowskiego nie mieści w jednej, choć największej, sali Instytutu. Szkoda, że nie rozmieszczono ich w całym gmachu.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA
I. K. C.
(„Ilustrowany Kurjer Codzienny“)

I

ROK 1914, 13-ty sierpnia, nr. 190. Tytuł: „Republika konkubiną caratu“:

„Francja, pionierka cywilizacji, bojowniczka wolności, Francja, synonim kultury i wykwintu, druga ojczyzna wygnańców, tułaczy i prześladowanych, matka filozofów i myślicieli, Francja republikańska, rewolucyjna podała swą rękę do cudzołożnego związku bandycie narodów, krwawemu katowi wolnej myśli, ciemnemu wrogowi kultury i postępu.

Teoretyczny aljans republiki francuskiej z rosyjskiem samodzierżawiem został ostatniemi dniami wobec całego świata z całą brutalnością i cynizmem — w praktyce stwierdzony.

Haniebne te dokumenty, których Francja w przyszłości wstydzić się kiedyś będzie — dokumenty historyczne ostatnich dni — to pogwałcenie prawa międzynarodowego, pogwałcenie uchwał konferencyj pokojowych, podeptanie prawa azylu i gościnności

Ku zdumieniu i oburzeniu swemu posłyszał świat o rozpoczęciu kroków wojennych bez uprzedniego wypowiedzenia wojny ze strony Francji, o najeździe aeroplanów, bombardujących kraj sąsiada — pomimo wyraźnych postanowień w Hadze, które tego rodzaju walkę potępiają i wykluczają. Od francuskiej granicy idzie jęk prześladowanych i wypędzonych obcokrajowców, których „gościnna“ republika wyrzuca z pod własnych dachów, odmawia łyżki strawy za ich własne pieniądze, opieki na ulicy, miejsca w wagonie, któryby ich uwiózł precz z gościnnej ziemi.

Francja dorównała Rosji, jeżeli jej nie przewyższyła. Obłędne kombinacje polityczne sprowadziły ją do tego samego poziomu, do tych samych nizin kultury, gdzie jak u jej aliantki panuje zabobon i okrucieństwo, prowokacja i korrupcja, knut i berło...

Francję — mylnie historja oceniała. Ten naród podłych mężczyzn i zepsutych kobiet, zdegenerowany, przeżarty fizyczną i moralną zarazą, ta Francja, która przeżywała niegdyś paroksyzmy wolności — tak dzisiaj jak i w historji grawitowała zawsze ku tyraństwu i korzyła się przed batem. Pouczają nas o tem dzieje ostatnich Ludwików i satrapja Napoleona I, i absolutyzm Napoleona III i jego ladacznicy koronowanej Eugenji, i dyktatura Boulangera, i ostatnio kazirodczy alians republiki z caratem.

Francja degeneratka, złajdaczona kurtyzana bulwarowa chorowała niegdyś na republikanizm, ale skończy swój żywot w historji na monarchiźmie — i zaiste! — lepszego losu nie jest godna“!

II

1914. 15 września.

„Lichy żołnierz angielski staje się żerem armat niemieckich. Plany dywersji rosyjskiej zawiodły. Ale Francja mimo to łudzi się w dalszym ciągu. Łudzi się nieugiętą wytrwałością nie sił własnych, lecz sił Anglji, niezmożonością potęgi rosyjskiej. O sobie Francja zwątpiła. Tem gorzej dla niej“!

III

1915. 25 maja.

„Szantażysta w postaci Włoch wystąpił nagle i przyłożył swemu przyjacielowi rewolwer do skroni... — oto w jaki sposób charakteryzuje „politykę“ włoską „*Svendska Dagebladet*“. Stwierdzając pokojowy charakter trójprzymierza, wspomniany dziennik szwedzki pisze: „Trójprzymierze nie zaatakowało Anglji podczas prowadzenia przez nią wojny z Burami. Popierało Rosję życzliwą neutralnością podczas jej awantury wschodnio-azjatyckiej i wewnętrznych niepokojów. Ale skoro tylko plany Edwarda VII były gotowe i sojusznicy Włoch znaleźli się w walce o swą egzystencje — Włochy przechodzą do napaści z tyłu... Ale takie postępowanie nietylko nie jest honorowe, jest ono ponadto tak głupie — z punktu widzenia samych interesów włoskich, że ze zdumienia człowiek staje oniemiały“...

IV

1925. 19 października.

„Ta miljonowa rzesza (czytelników) pamięta doskonale, że „I. K. C.“ był jednem, jedynem pismem, wychodzącem pod zaborem austrjackim, które od 28 lipca 1914 miało odwagę przeciwstawienia się mocarstwom centralnym i opowiedzenia się — w formie możliwej — pod cenzurą wojenną — za państwami Ententy“.

V

Rok 1931:

„Szanowny Panie! Zasługi Sz. Pana chcemy uwiecznić w dziele, które wydajemy. Fotografja Jego z rodziną, na tle rezydencji i w otoczeniu sług, byłaby cennem uzupełnieniem Pańskiego życiorysu, o którego nadesłanie uprzejmie prosimy. Chwilowo rezerwujemy dla Sz. Pana 1 stronę, gdyby to miało być za mało, zrobimy miejsce na dwóch. Za nasz trud liczymy sobie cztery tysiące zł. od strony, płatne wekslami i na raty. Dotąd otrzymaliśmy zamówienia od J. O. Radziwiłła i JWPP. Potockich i Tarnowskich, tudzież od plejady szlachty zwyczajnej. W oczekiwaniu i t. d. Dąbrowski“.

VI

Inseraty w r. 1931.

„ROZWIEDZIONY nie z własnej winy, żyd, lat 55, zdrów, dzieci nie ma, na posadzie w pierwszorzędnej firmie (w sobotę pracuje), zapozna w celu matrymonjalnym sympatyczną panią w stosownym wieku, z własnym dochodem. Palenie tytoniu obustronnie wykluczone. Listy adresować: I. K. C. Kraków, Wielopole 1. „*Sans enfants*“

•

„DESPOTA dyskretny, inteligentny, szuka niewolnicy. Panie z Poznania lub okolicy, o bardzo nieprzeciętnych pragnieniach, zechcą się zgłosić do I. K. C., oddział w Poznaniu, św. Marcin 48, pod nr. 35020“.

•

„100% DZIEWICA poszukuje abstyfikanta. Zgłoszenia I. K. C. Kraków, Wielopole pod „Chciałabym“..

•

„Profesor wpływowy — poszukiwany do 2-ch osób, celem udzielenia wskazówek potrzebnych do matury klasycznej, wynagrodzenie 3000 zł. Zgłoszenia: I. K. C., Kraków, Wielopole 1 pod „Wynik pewny“.

•

„PECHOWIEC, dobrego towarzystwa, wyższe wykształcenie, 39 lat zgodzi się na najdziwaczniejszą życiową kombinację, stałą lub czasową, tu lub zagranicą, byle mieć wygodne życie, bez wiecznej troski o jutro... Panie bez różnicy wieku, wyznania, narodowości — piszcie: — I. K. C. Wilno, Wileńska 26, „*Sapienti Sat*“.

M. † p. ADOLF NOWACZYŃSKI
(skazany dnia 4-go marca 1932 na trzy miesiące więzienia)

NA MARGINESIE

Kto ciekaw, niech przeczyta, jak sanacyjny „Czas“ motywuje potrzebę ustawy o zgromadzeniach (nr. 48).

„Jeśli ktoś jak to czynią stronnictwa opozycyjne, traktuje obecną walkę, jako opozycję bezsilnych elementów „zdrowych“ przeciw grupie, która dla interesów osobistych i wbrew woli ogromnej większości społeczeństwa zagarnęła władzę — to szkodzi tem nie grupie rządzącej, ale szkodzi państwu. Najszkodliwszym bowiem defetyzmem i robotą, pomagającą jedynie obcym agenturom, jest twierdzenie, iż społeczeństwo polskie jest tak niedojrzałe, tak bierne i tak tchórzliwe, iż można niem rządzić wbrew niemu“.

Zakrawa to na prowokację: „Czas“ urąga opozycji, że nie jęła się wojny domowej..

„Rzucanie takich haseł“—dodaje „Czas“, — „w szerokie masy, jest wyrazem właśnie głębokiej pogardy dla Narodu, jest najszkodliwszą destrukcją“.

Co za subtelność uczuć narodowych! Pokazuje się, że ustawa o zgromadzeniach podyktowana była troską o Naród, który się spotwarza.. Dziwnie w tej Polsce się dzieje. Niedawno „sanacja“ utrzymywała, że młodzież narodowa w uniwersytecie sama na siebie rzucała kamieniami.

•

Organ sanacyjny „Słowo“ ni stąd i zowąd stwierdził ze zdziwieniem, że: 1) w Lidze Narodów reprezentują Polskę Żydzi i 2) że młodzi publicyści obozu sanacyjnego piszą w duchu komunistycznym, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

— Skąd się to wzięło? — takie pytanie brzmi w jego zdziwieniu.

— Figlarność „Słowa“ przypomina wróbelka, który skakał trawę i przeskoczywszy na inną gałązkę, ćwierka: „A kto to zrobił?“

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.